Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 24 (529). *WARSZAWA, 15 czerwca 1929 r.* *ROK XXII.*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU
POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P. K. O. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

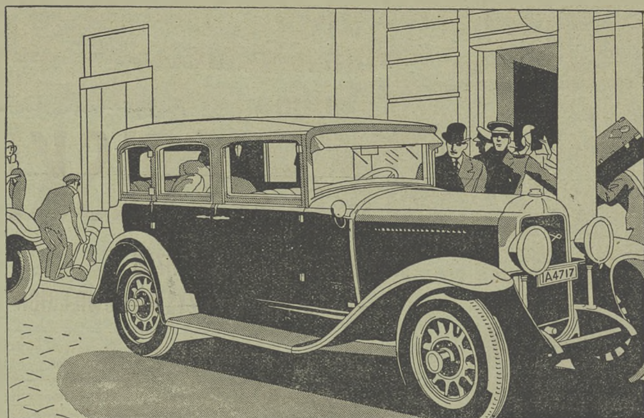
Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedynczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 40 groszy; cała strona — 224 zł., ½ — 112, ¼ — 56, ⅛ — 28. Przed tekstem — 50% drożej; na karcie tytułowej — 100% drożej.

W numerach ozdobnych: za tekstem 60 gr., strona — 336 zł., ½ — 168, ¼ — 84, ⅛ — 42. Przed tekstem — 50% drożej. Na karcie tytułowej i okładce — 100% drożej.

Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.



Najwieksi przemysłowcy wszystkich krajów świata wybierają Buicka

Szybkość, trwałość i wygoda charakteryzują tegoroczny Buick

Słynny 6cylindrowy silnik Buicka o górnym rozrządzie, przy zwiększonej średnicy i skoku cylindra, zapewnia ostatniemu modelowi na rok 1929 szybkość 120 kilometrów na godzinę. Możność osiągnięcia tej zawrotnej szybkości, dzięki całkowitej harmonji odpowiednio wzmocnionego podwozia i precyzyjnie wykończonej karoserji z silnikiem świadczy o olbrzymiej potencjalnej energji tego samochodu. Pozwala ona na przebywanie z łatwością najcięższych i najgorszych dróg gruntowych oraz najbardziej pochyłych wyniosłości.

Pod względem elastyczności, akceleracji i cichego chodu, potężny silnik Buicka nie ma sobie równego. W połączeniu z przepiękną karoserją Fishera, uznaną przez cały świat za ostatni wyraz nowego stylu i harmonji linji, konstruktorzy Buicka osiągneli całość, przechodzącą najśmielsze marzenia w zakresie budowy samochodów.

Wytworny wygląd i potężna budowa Buicka wyróżniają go wszędzie.

Potencjalna energja Buicka przedewszystkiem przemawia do ludzi pracy zawodowej.

Zapas potencjalnej energji, który posiada słynny silnik Buicka, wyklucza wszelkie niespodzianki w najcięższych warunkach drogowych, dlatego więc samochód ten jest nieoceniony i poszukiwany przez najwybitniejsze osobistości w sferach urzędowych i zawodowych.

BUICK

Wyrób General Motors

General Motors w Polsce, Warszawa

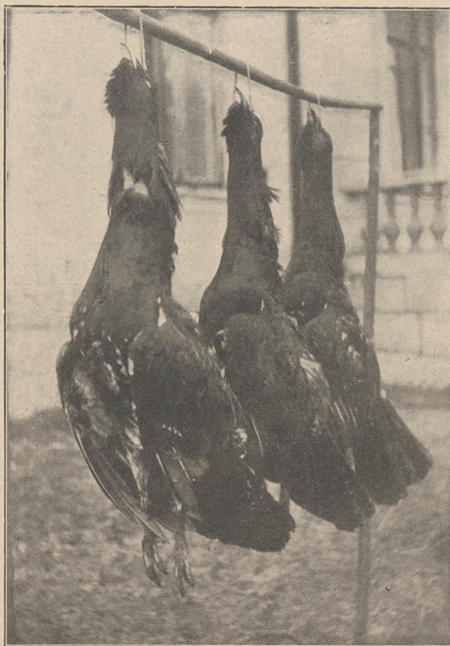
Walny Zjazd Delegatów Powiatowych Centr. Związku Polskich Stow. Łowieckich w Poznaniu.

Wydział Wykonawczy Centr. Związku Polskich Stow. Łowieckich na mocy uchwały z dnia 7 czerwca b. r. wzywa P. P. Delegatów Powiatowych do przybycia na WALNY ZJAZD, który odbędzie się w DN. 22 CZERWCA B. R. W POZNANIU, rozpoczynając sobą „Zielony tydzień" Wielkopolskiego Związku Myśliwych.

Na porządku dziennym: Sprawozdania i wnioski P. P. Delegatów. Początek Zjazdu dnia 22 czerwca o godz. 3-ej popołudniu. Wieczorem wspólny obiad. Dnia 23 zwiedzanie wystawy łowieckiej, a wieczorem Zielony bal. Następne 3 dni przeznaczone są na konkurs strzelecki.

Zgłaszać się należy do Wielkopolskiego Związku Myśliwych Poznań ul. 27 grudnia 19 w podwórzu I p.

**WYDZIAŁ WYKONAWCZY
CENTR. ZWIĄZKU POL. STOW. ŁOWIECKICH**



Wiosenny rozkład. Fot. Piotr Łowieniecki.

Z CZARÓW POLESIA.

Serdecznemu przyjacielowi, p. Witoldowi Zawadzkiemu, którego business'y (oby pomyślne) pozbawiły wiosennych rozkoszy myśliwskich, — wspomnienia te poświęcam.

„Zwierz jeszcze nie wypłoszony znajduje się tu w znacznej ilości: niedźwiedzie (rzadkie), dziki, łosie, bobry, rysie spotkać można. Wiosną wczesną korzystają myśl.wi z tokowania cietrzewi i głuszców; mnóstwo jarząbków łowią na sidła przynętą z kaliny lub jarzębiny".

(J. I. Kraszewski. Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy).

Od czasu gdy J. I. Kraszewski pisał słowa powyższe, minęło kilkadziesiąt lat. Dużo też zmieniło się na Polesiu. Niedźwiedzie, łosie, bobry i rysie można liczyć na sztuki lub dziesiątki najwyżej. Dziki i sarny trzymają się w ilościach znaczniejszych. Z ptactwa — coraz bardziej ginie jarząbek. Znacznie odporniejsze są głuszce i cietrzewie. Pomimo graniczącego ze spustoszeniem, wyrębu lasów, dwa te gatunki czują się doskonale, i bez przesady można powiedzieć, że w jako tako strzeżonych łowiskach stan głuszców i cietrzewi poprawia się z roku na rok. To też każdej wiosny Polesie odwiedzane jest przez całe rzesze myśliwych, żądnych uroku tajemniczej pieśni głuszcowej.

W tym roku minęło już lat dziewięć, gdy po raz pierwszy, korzystając z zaproszenia kuzyna swego, p. K. K., poznałem rozkosz i trud „podchodzenia tokującego głuszca. W ciągu tego okresu miałem około dwudziestu spotkań z głuszcami, a każde zawierało coś nowego, jakiś odrębny szczegół, sprawiający, że przeżycia i wrażenia były zawsze nowe niepodobne do już doznanych. Osobiście na mnie polowanie na głuszca wywiera potężne wrażenie. Niejednokrotnie obiecywałem sobie upolować więcej niż jednego głuszca, jednak kończyło się zawsze na projekcie tylko. Po zabiciu bowiem tego książęcia kniei doznawałem uczucia kompletnego nasycenia, i zdobycie drugiego koguta równałoby się, mojem zdaniem, obniżeniu wartości dopiero co doznanych wzruszeń. To wielkie przeżycie wygrywa w swem bogactwie właśnie dlatego, że rok cały nań czekać znowu wypada. Toteż powracając po udanych łowach do gajówki lub myśliwskiego kurzenia, zdaję sobie sprawę, że oto w tej chwili minął jeszcze jeden rok myśliwski i że cały następujący okres roczny, przeplatany, bądź co bądź, temi lub innemi wrażeniami łowieckiemi, nie jest czemś innem, jak... oczekiwaniem następnej wiosny.

W ciągu tych lat dziewięciu — zabiłem tyleż głuszców. Większą część tej liczby zawdzięczam fenomenalnemu Tereszce. Aczkolwiek rodowity poleszuk, przedstawia Tereszko zewnętrznie typ bardziej moderne, chodzi bowiem w ubraniu conajmniej małomiasteczkowego kroju, na oko nie robi wrażenia dziecka kniei poleskich, jakiem jest w rzeczywistości. Ojciec, brat, on sam, a obecnie i syn — wszystko zawołani myśliwcy, znawcy tajemnic lasu i życia zwierza. W powiedzeniu Tereszki: „Jak ja podywlusia na zwira, to ja znaju szczo win dumaje" — niema ani cienia przesady. Olbrzymi, liczący przeszło czterdzieści tysięcy morgów, Stepański las zna Tereszko na wylot, orjentując się w setkach krętych dróg i ścieżek wśród najczarniejszej nocy lepiej, niż niejeden mieszczuch w centrum rodzinnego miasta. Każde oddzielne drzewo Tereszko rozróżnia tak samo, jak ludzie miast rozróżniają meble we własnem mieszkaniu. Znajomość zatem terenu i przyzwyczajeń zwierzyny sprawia, iż Tereszko nieomylnie prawie wskazuje, gdzie należy stanąć, gdy gończe ruszyły już kozła lub lisa. Pamiętam, jak pewnej jesieni Tereszko napędził na mnie z dwuch przeciwległych stron po jarząbku, literalnie w taki sposób, jak gdyby jarząbki leciały wzdłuż przeciągniętych przez las nitek, których końce spotykały się w miejscu, gdzie stałem.

Nie był to przypadek. Przed wykonaniem roli naganiacza, Tereszko ustawił mnie na stanowisku i przewidział, jak się okazało, najzupełniej dokładnie, z których dwuch kierunków mam się spodziewać jarząbków. Dodać należy, że polowanie to było niespodziewane. Idąc z Tereszką przez las, usłyszeliśmy dwa, wabiące się wzajemnie jarząbki. Tereszko ułożył natychmiast plan polowania i w ciągu 15 — 20 minut precyzyjnie go wykonał. Z takim artystą podchodziłem większość swoich głuszców.

Tereszko pod wieloma względami niepodobny jest do swych współbraci, poleszuków - myśliwców



Moja psiarnia: szczenięta Rene i Cory
Fot. inż. W. Eckardt

Przedewszystkiem nie jest krwiożerczy, i dba o to, aby knieja nie była pusta. Tem więcej należy ten rys ocenić, jeżeli wziąć pod uwagę, że strzela świetnie, nawet do bekasów.

Pozatem jest doskonałym gospodarzem. Chata jego jest pełna wszelakiego dobra, nie wyłączając bardziej zbytkownych smakołyków.

Bieżącej wiosny, tak samo, jak i w roku ubiegłym, wybraliśmy się do Stepania we dwuch, — p. St. M. i ja. Z powodu srogiej zimy wyjazd nastąpił pod koniec kwietnia. Okazało się, że z powodzeniem można było jeszcze na tydzień wyprawę naszą odłożyć. Przywieźliśmy bowiem z sobą śnieg, który prędko co prawda stopniał, ale odżywiającą już pod tchnieniem wiosny knieję znowu na dni parę uśpił. Szalejące podczas następnych dni kilku wiatry, fatalnie wpływały na humor cietrzewi, które zupełnie nie zjawiały się na tokowiskach. Słusznie poleszu-

cy mówią: „Teteruki welmi nie lubiat, jak im witer pid chwist duje". Rozbrzmiewający, w innych warunkach, na wszystkie strony, bełkotem cietrzewi las, formalnie spał. Z rozpaczy spaliśmy i my.

W siedzibie naszej, w uroczysku zwanem „Nowy Ostrów" było nam jak w niebie. Mieszkaliśmy w gajówce, mając do dyspozycji „stancję" o powierzchni 12 metrów kw. Urządzenie — jak to bywa w lesie. Tapczany wysłane słomą „kulową", zastępowały z powodzeniem sprężynowe materace. Nasze aspiracje estetyczne znajdowały ujście w kopji Madonny Murilla, nawet nie najgorzej, choć bardzo zniszczonej. W roku ubiegłym podano nam chleb u innego gajowego na wcale niezłym talerzyku saskim z epoki Marcolini'ego. Fakty te znajdują wytłomaczenie w zawierusze wojenno - rewolucyjnej, która w kraju tym szczególnie dała się we znaki dworom obywatelskim i wprowadziła pomieszanie nietylko pojęć co do własności, ale i samych własności, wobec czego te ostatnie znalazły się często w rękach wcale niepowołanych. Zastrzec się muszę, że w obydwu opisanych wypadkach, ostatni właściciele pochodzących niewątpliwie ze dworów, przedmiotów doszli do ich posiadania bynajmniej nie w drodze bezpośredniego podziału obszarniczego dobra.

Rodzina, której wypadło opiekować się naszym losem, okazała się bardzo gospodarną i zasobną, tak, że nie zbywało nam na niczem. Czuliśmy się jak w pensjonacie w polskiem uzdrowisku podczas „la haute saison" i brakowało dla zupełnej analogji chyba tylko drożyzny.

W lesie nie byliśmy zupełnie sami. O pięć kilometrów od Nowego Ostrowia znajduje się uroczysko „Hrafskij Kureń". Nazwa ta pochodzi, jak głosi podanie, stąd, że w miejscu tem ukrywał się przez długie miesiące, poszukiwany przez moskali za udział w powstaniu, ówczesny właściciel dóbr Stepańskich i miasteczka Stepania, hrabia Worcell.

Otóż na „Hrafskim Kureniu" ruch tej wiosny panował niebywały. Otrzymywane przez nas codziennie sztafety, przynosiły coraz to nowe wiadomości. Pan wice-minister zabił głuszca. Pan wojewoda strzelał siedem razy z budki do cietrzewi i nic nie zabił. Pan generał strzelał do głuszca i nie trafił, a dopiero gdy głuszec poleciał, okazało się, że generał strzelał nie do tej sosny, na której głuszec siedział. Pan dziedzic zabił jednego wieczora trzy słonki, a następnego ranka cztery cietrzewie z budki. Niestety, cietrzewie już po przyniesieniu do gajówki ulotniły się bez śladu.

Jest swego rodzaju urok w tych zawodach, powodzeniu i niespodziankach, i bez jakiejkolwiek ironji przytaczam szczegóły powyższe.

Z powodu przeludnienia na „Hrafskim Kureniu", wszyscy gajowi, z Tereszką na czele, zmobilizowani byli dla obsługi tamtejszych myśliwych.

Nam przysłano jednego, doświadczonego gajowego, oraz syna Tereszki, Iwana. Jeśli pewne właściwości charakteru nie uniosą go w innym, mniej pożądanym kierunku, — wyrośnie z niego utalentowany gajowy-myśliwiec.

Tak więc wypadło, że Iwan miał mnie podprowadzić do miejsca, skąd usłyszeć można będzie tokującego głuszca. Podskakiwać zdecydowałem sam. W talent Iwana wierzyłem, w jego solidność łowiecką, mniej, boć to jeszcze dzieciak. Do momentu wyjścia z gajówki mamy ze trzy godziny, idziemy więc spać. Ale jak tu spać przed polowaniem na głuszca. Myśli huczą, jak pszczoły w ulu, natrętnie wciskając się do mózgu. Będzie śpiewał, czy nie? Siedzi na suchem, czy w bagnie? Czy aby będzie ładny ranek? Oby tylko przymrozek nie wziął, bo z podchodzeniem będzie gorzej, gdy lód pod nogami trzeszczeć zacznie. I tak jedno za drugiem nasuwają się pytania. Przy ich akompanjamencie zasypiam.

Gwałtowny, jak huk stu młotów fabrycznych, terkot budzika zrywa mnie na równe nogi. Przecieram oczy. Aha! Głuszec! Wychodzimy. Noc ciemna, ale wkrótce powinien pokazać się księżyc. Mamy godzinę drogi pieszo. Szczególniej nieprzyjemne są dwa „brodki" po drodze, pełne korzeni, jam i wykrotów. W dodatku trzeba przejść przez nie cichutko, bo niedaleko zasadzony jest głuszec dla p. M. Jakoś mijamy oba „brodki" pomyślnie. Robi się cokolwiek tylko widniej, bo księżyc, chociaż już zeszedł, ale schowany jest za chmurami. Śpieszyć się nie potrzebujemy, idziemy więc wolno, stąpając cicho, jak duchy.

W lesie martwota zupełna. Powietrze przesycone specjalnym zapachem zleżałych liści, orzeźwia i upaja. Gdzieniegdzie błyska robaczek świętojański, zjawisko dość rzadkie, jak na początek wiosny.

Las śpi jeszcze.

Myśl oczywiście zajęta polowaniem, do którego coraz bliżej. Rozpamiętywam swoje dotychczasowe „podchody", chcąc sobie uprzytomnić wszystkie naraz, poszczególne przeszkody i trudności, które za chwilę pokonywać zacznę. Ale czy to można wszystko przewidzieć?



Z wieczornego ciągu słonek w dn. 7.IV. 29, w lasach dóbr Lućmierz.

Fot. inż. W. Eckardt.

Tymczasem Iwan zwalnia kroku i po chwili staje. Stąd mamy nasłuchiwać. Serce zabiło żywiej. Jeszcze kilkanaście kroków naprzód. Stajemy znowu. Cisza bezdenna. Tak cicho może być tylko na dnie oceanu.

Wtem, gdzieś przed nami dał się słyszeć pojedyńczy dźwięk, do uderzenia drewnianej pałeczki o pień drzewa podobny; zaraz potem drugi taki sam odgłos, ale już podwójny. Iwan dotknął mego ramienia i szepnął: „śpiwaje". Ale zarówno dotknięcie, jak i szept były już zbyteczne. Po kilku kastanietowych uderzeniach popłynęła cicha, czarowna, tak pełna dla ucha myśliwego melodji, pieśń głuszca. Po króciutkiej przerwie zabrzmiała następna, potem jeszcze jedna. Spojrzałem na zegarek — punkt druga.

Szybko zdjąłem płaszcz, nabiłem broń i ruszyłem przed siebie. Twardy początkowo grunt zaczął mi się wkrótce usuwać z pod nóg, wreszcie zamienił się w bagno.

Głuszec gra średnio, z przerwami, tak, że z początku idę dość wolno, nie męcząc się. Ale bagno staje

się coraz uciążliwsze. Wpadam za każdym podskokiem coraz głębiej. Mowy niema o zrobieniu podczas jednej pieśni chociażby dwuch kroków. Nieraz tracę pieśń tylko na to, aby wyciągnąć jedną nogę z bagna. Po każdym takim skoku woda niemożliwie bulgocze, wydaje mi się wprost niemożliwem, abym tak hałasując, nie spłoszył głuszca. Na dobitek złego, z chwilą gdy znalazłem się na bagnie, prawie zupełnie przestałem słyszeć pieśń. Dopóki byłem na suchym pagórku, głos szedł górą i słyszałem głuszca doskonale. Z chwilą pogrążania się w bagno, traciłem pieśń coraz więcej. Ze względu na niemożliwy do podchodzenia teren, tem więcej trzeba było przysłuchiwać się pieśni, aby według niej koordynować swoje ruchy, a tymczasem nic prawie nie słychać. Ale iść naprzód trzeba, więc się też, o ile możności, ruszam.

Jednakże wszystko to odbywa się więcej niż żółwim krokiem. Nie wiem, jak długo tak idę, mam tylko tę pociechę, że głuszca znowu coraz lepiej słyszeć zaczynam. Dodaje mi to otuchy i raźniej podskakuję, wyzyskując każdą pieśń. Niestety, teren coraz gorszy.

Gorąco mi jest, jak w łaźni. Pot strugą leje mi się z pod czapki, zalewając okulary. Broń ciąży niemożliwie, oddechu brak. Do głuszca jeszcze daleko. Raptem noga mi się obsuwa z kępy i z gromopodobnym chlupotem wpadam do wody. Na szczęście utrzymałem równowagę. Z przerażenia, że głuszec mógłby hałas wytworzony usłyszeć, doznaję uczucia, jakgdyby serce mi się zatrzymało. Głuszec zamilkł w istocie. Nawet nie „klapie". Taka dłuższa przerwa jest niesłychanie denerwującą. Myśliwy nie wie przecież, czy za chwilę łopot skrzydeł nie oznajmi, że wszystkie zachody i trudy, na ten przynajmniej ranek są stracone.

Po kilku minutach zdających się wiekiem, głuszec znowu ostrożnie i podejrzliwie grać zaczyna. Najwyraźniej zwodzi, możnaby rzec, „kluczy" głosem, aby zbić z tropu już i tak ledwie żyjącego z emocji, myśliwego. Ale zapał miłosny robi swoje i kniaź puszczy zaczyna grać coraz hazardowniej. Cóż z tego, kiedy natrafiam na jeszcze gorszy teren. Już brnę stale po kolana. Ponieważ odgłos kroków rozchodzi się echem, jak w pustym kościele, więc wyzyskuję tylko sam środek pieśni, w obawie, aby odgłos opóźnionego kroku nie doszedł słuchu głuszca.

W ten sposób nietylko pokrywam minimalną przestrzeń, ale nerwowo wyczerpuję się coraz więcej. Wreszcie zjawia się prawie decyzja. Dalej nie pójdę, o podskakiwaniu niema przecież mowy, pocóż napróżno płoszyć głuszca.

Lecz natychmiast zrobiło mi się wstyd i jakby zdopingowany, rzuciłem się naprzód raz i drugi, korzystając z tego, że głuszec znowu lepiej grać zaczął. Jestem już coraz bliżej, pieśń coraz wyraźniejsza. Wreszcie spostrzegam grupę większych sosen. To tam! Teren staje się mniej bagnisty, widocznie głuszec siedzi w środku bagna na tak zwanym na Polesiu, „hrudu". Dowodzi tego grupa wysokich sosen, — bo w bagnie rosną tylko sosny skarłowaciałe.

Czuję, że jest późno, więc dobywam resztek sił i robię jeszcze kilkanaście kroków naprzód. Głuszec śpiewa nieźle, choć daje się odczuwać w pieśni pewna rezerwa. Orjentuję się wreszcie, że jeśli chodzi o odległość, iść dalej nie potrzeba.

Jest trzecia rano. Całą godzinę podskakiwałem. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu.

Teraz pozostaje jaknajprędzej wypatrzeć głuszca. Pośpiech jest już konieczny, bo słyszę kwoktanie trzech głuszyc.

Jest to ostatni dzwonek. Lada chwila głuszec ulecieć może na tokowisko i wtedy wszystko przepadło. Niemyśliwską jest rzeczą strzelanie do głuszca na ziemi.

Od wytężenia wzroku w celu wypatrzenia ukrytego wśród gałęzi, ptaka, czuję ból pod czaszką. Chwilami wydaje mi się, że widzę kilka sylwetek naraz, to znów żadnej. Oczy pieką, jakgdyby kto pod powieki tabaki nasypał. Przymykam na chwilę oczy dla wypoczynku. Nic to jednak nie pomaga. Głuszec jest, bo jeszcze gra, ale go nie mogę ujrzeć.

Wreszcie zaczyna mnie ogarniać desperacja, jak przed chwilą podczas podchodzenia. Jakto, podejść najtrudniejszego głuszca w życiu i nie dojrzeć go! Czuję, że dostaję dreszczów, trzęsę się cały, jak w febrze. Święty Hubercie, dopomóż!

Głuszca szukałem mniej więcej w połowie korony sosny, na której ptak siedział. Co do właściwej sosny nie mogłem się omylić, bo mi słuch wyraźnie wskazywał. Kiedy więc rzuciłem okiem wyżej i zobaczyłem sylwetkę ptaka na samym czubku, mógłbym powiedzieć, iż oniemiałem, gdyby nie okoliczność, że od godziny przeszło nie mówiłem. Natomiast literalnie zdębiałem. Na wierzchołku bowiem sosny siedziała... wrona. Wrażenie to trwało, naturalnie, setną część sekundy. Oczywiście, złudzenie. Niebotyczna sosna i kompletny jeszcze mrok pochmurnego poranku sprawiły, że głuszec wydał mi się tak małym.



Gniazdko kuropatwy.

Fot. J. B.

Gorzej jest, iż ta „wrona" nie chce grać. Fuzję trzymam lufami do dołu. Stoję na otwartem. Głuszec zrwócony „en face" do mnie. Niema sposobu poruszyć się. Byle jedna tylko pieśń.

Tymczasem robi się coraz widniej. Głuszec staje się wyraźniejszy i większy.

Nareszcie! Klapnięcie jedno, drugie, potem pieśń... i... stało się.

Jak piorunem rażony, z łoskotem podciętego drzewa, spadł głuszec do podnóża sosny... Była trzecia minut dwadzieścia zrana.

W tej samej chwili poleciała druga myśl do św. Huberta, tym razem dziękczynna.

O ile mój niezapomniany głuszec zajął mi jeden tylko ranek, o tyle p. St. M. musiał się dobrze natru-

dzic, zanim zabił pięknego zresztą koguta. Na Polesiu wiadomo wszystkim, że „ono" lubi figle płatać najporządniejszym ludziom. A może mój przemiły towarzysz zaniedbał przed wyjazdem na Polesie „kolankowe" formalności.

Fakt jednak, że mu się ciągle nie powodziło. To zapóźno podskoczyli (razem z przewodnikiem), to głuszec zawcześnie zleciał na tok, to znowu wcale nie śpiewał.

Ranku jednego, obdarzona zbytniem zaufaniem, rosnąca na kępie brzoza, za którą chwycił w podskoku p. St. M., trzasła z hałasem, a głuszec oczywiście z łopotem zerwał się. Znam te przyjemności dokładnie, przeżywałem je wszystkie. To też gdy wreszcie powrócił p. St. M. z pięknym głuszcem, odetchnęliśmy obaj. Odrazu rozwiązały nam się ręce, mogliśmy przedsiębrać inne projekty myśliwskie.

Późna wiosna i duży wylew wód Horynia na przybrzeżne łąki, sprawił, że kaczorów na leśnych błotach nie spotykaliśmy zupełnie. Chcąc ozdobić nasze rozkłady kilkoma sztukami tej zwierzyny, wybraliśmy się na Horyń, aby z podjazdu łódkami popróbować szczęścia. Stały nasz furman, Pawło Szapirka (w głowę zachodziliśmy, skąd się wzięło takie nazwisko u stuprocentowego poleszuka) zajechał znanym nam już wozem i parą koników, miary prostej 1 metr 20 cm., za to w parze 55 lat liczących. Poczciwe te stworzenia, cudów dokazywały po drogach, które przyprawiłyby o niechybne kalectwo lub nawet śmierć z wycieńczenia, każdego szlachetniejszego konia.

Dbałość Pawła o zaprząg była nadzwyczajna. Zdarzało się, że chodził parę kilometrów piechotą, by przynieść na własnych plecach owies dla swoich koników.

Podczas jednego z przejazdów spotkaliśmy w lesie srokę. „Soroka, powiada Pawło, ce ważnaja sztuka, dobre bułob, szczob pany zabyły z odnu". Na zapytanie nasze, coby zrobił z zabitą sroka, Pawło odpowiedział z najpoważniejszą miną: „Jak soroku powisyty u stajni, to koniam hrywy ne putajutsia". Czy marzyłem kiedy, jako zawołany koniarz, o zdobyciu tak prostego i zapewne niezawodnego srodka?

Ale wracam do wyprawy na Horyń. Woda była rzeczywiście ogromna. Kaczorów widzieliśmy dużo, ale siedzących na czystem lustrze, przeto nie dały się ani razu zbliżyć, chociażby na prawdopodobny tylko strzał. Skończyło się na paru wronach i, o dziwo, p. M. zabił dwa jastrzębie, które były mniej ostrożne, niż kaczory. Z przyjemnością oglądałem nieszkodliwego już, wspaniałego Astur palumbarius'a. Drugim był błotniak (Circus rufus).

Z cietrzewiami stanowczo nam się nie wiodło. Zaraz pierwszego dnia, po zainstalowaniu się na Nowym Ostrowiu, udaliśmy się na najlepszy tok cietrzewi na uroczysko „Uberez", stanowiące prywatną własność, zawsze dla nas przyjaźnie usposobionego i gościnnego p. K. P.-S.

Jak zwykle, zastaliśmy idealnie sporządzone budki, w których wygodnie ulokowaliśmy się już o drugiej w nocy. Czekaliśmy niedłużej nad kilka minut, gdy cietrzewie zaczęły się zlatywać.

Zebrało się ogółem około trzydziestu. Tokowały dość daleko od budek, chociaż tok skoncentrowany był dobrze.

Tylko sztucerom zawdzięczamy, że zabiliśmy trzy koguty. Na strzał z dubeltówek siedziały stanowczo za daleko.

Późniejsze wyprawy na cietrzewie były zupełnie nieudane. Pomimo świetnych zazwyczaj tokowisk, wszelkie nasze wysiłki i niedospane noce poszły na marne. Wiatry i deszcze, jak już wyżej pisałem, wpłynęły na to, że cietrzewie jakby wymarły. Nie było ich ani widać, ani słychać.

Co wieczora stawaliśmy na ciągach. W Stepańskiej kniei słonki ciągną prawie wszędzie, stąd niema miejsc uprzywilejowanych i mieć na ciągu okazję do strzału jest wyłącznie kwestją szczęścia.

P. St. M. jednego wieczora słyszał i widział razem 11 sztuk, wszystkie jednak ciągnęły po za sferą normalnego strzału.

W rezultacie zabiliśmy 9 sztuk, z tego podniesiono 8.

Wspomnienia te głęboko zapadły mi w serce. Mają one w sobie coś z kurantowego zegara wybijającego minione godziny, i tem samem zbliżają do następnej wiosny, obiecując nowe i silniejsze może jeszcze wrażenia.

KAZIMIERZ ŚWIDERSKI.

W maju, 1929 roku.



D W I E   W I Z J E.

...Była mroźna, polska zima...

Śnieg skrzył się tysiącami djamentów, drzewa chyliły swe gałęzie pod ciężarem śniegu ku ziemi, jakby pokłon oddając Stwórcy wszystkiego.

Na skraju boru, ukryty za drzewem stał człowiek odziany w drucianą koszulkę, z hełmem na głowie, w ręku trzymał naciągniętą kuszę, o drzewo oparty oszczep, czekał, czekał na zwierza...

Bór milczał, czasem tylko osunął śnieg z gałęzi, czasem ptak jakiś zaskrzeczał, wywołując jakieś dziwne uczucie emocji i oczekiwania, w człowieku stojącym pod drzewem.

Wtem zahuczały trąby.

Co to! Z tego małego człowieka stojącego pod stuletnim dębem, wyrasta dziwnie olbrzymia swą siłą postać. Jakiś duch mocy, potęgi i energji wyolbrzymił ją, zda się, rosnąć za każdym nowym tonem rogów.

Cud — rzec można.

Lecz nie, to nie cud, to tylko rodzi się w tym człowieku myśliwy rozumiejący grę rogów, kochający przyrodę, czujący każdy jej objaw, rozumiejący mowę lasów, mowę przyrody.

A rogi donoszą o ruszonym zwierzu.

Zwierz idzie, lecz jeszcze go nie widać.

Słychać tylko zdala trzask łamanych gałęzi, skrzypi śnieg, coś w puszczy się dzieje, jakaś walka wre, jakieś dwa wrogie zastępy rycerzy walczą.

Nie, to zwierz idzie, biegnie, pędzi całą siłą naprzód, byle jaknajdalej uciec przed przeraźliwym tonem rogów i piszczałek.

Wtem nowy cud...

Pęka ściana zbitego gąszczu i wysuwa się potężny łek żubra, wysuwa się, ale tak szybko, że nasz mały człowiek nie ma czasu wypuścić grotu z kuszy, by powalić tego potentata puszczy polskiej.

Lecz już pędzą następne: żubry za łosiami, łosie za dzikami i tak bez końca pędzi zwierz. Człowiek razi go grotem, oszczepem, już nie napada, lecz broni się.

Zwolna milknie bór, śnieg sypie się z konarów potężnych drzew, jakby łzy roniąc i żaląc się, że jego ulubieńcom krzywdę uczyniono.

Rogi głoszą fanfarę dla człowieka, a „morituri" dla zwierza.

Las też płakał.

Nasz myśliwy ogarnięty żądzą krwi, teraz nie rozumiał tego płaczu, tej cichej mowy lasu, ogarnął go zapał walki, niedający się prędko zaspokoić.

Lecz las niedługo płakał, gdyż nowe zastępy zwierza, nowe zastępy potentatów puszczy zapełniły go, ożywiły; gdyż nowe pokolenia zwierza wychowywały się pod cieniami rozłożystych drzew.

To wizja pierwsza, wizja przeszłości.

— — — — — — — — — —

...Był cichy, pogodny wieczór, poprzedzony upalnym dniem...

Na siercie gałęzi siedzi człowiek, dziwnie smutny, dziwnie przygnębiony. Ubrany w garnitur zielony, kapelusz z piórem sójki na głowie.

Siedzi i duma...

Słońce rzuca czerwone blaski na cały bór. Wszystko tonie w powodzi ostatnich promieni zachodzącego słońca.

Las rzadki, podszyty olszyną, pusty, dziwnie osamotniony. Lekki wiaterek porusza od czasu do czasu liście olchy lub brzozy płaczącej. Nic, żaden głos żyjącego stworzenia nie przerwie tej ponurej ciszy.

A człowiek myśli...

Wspaniały, dziesięciostrzałowy sztucer przewieszony przez ramię, błyska w promieniach słonecznych. Pies leży przy nodze pana i zda się też myśleć.

Myślą razem...

Przeszli cały las i nie napotkali nic, żadnej żyjącej istoty. Wspomnienia przeszłości wirują w głowie człowieka. W głowie psa powstaje pytanie: po co uczono mnie tropić, gdy niema śladów zwierzyny, a co dopiero śladów krwi.

Las pusty myślał o dawnych mieszkańcach, potężnych żubrach, rosochatych łosiach, krwiożerczym, silnym niedźwiedziu i wielu jeszcze innych odmianach zwierza.

Na wschodzie zaczęły się zbierać chmury...

Wtem szelest jakiś obudził człowieka i psa.

Co to, mara, czy sen?

Tam, o jakie 150 kroków stoi kozioł.

Wyszedł, by ożywić swe wątłe siły w zimnych wodach strumienia. By wypocząć po długiej ucieczce przed psami kłusownika.

Człowiek patrzy i nie chce wierzyć swym oczom.

Lecz to jawa, tam stoi kozioł, gruby zwierz, jak na ciężkie czasy, i dawno niespotykany.

Broń zwolna podnosi się do ramienia, jeszcze chwila i huknie strzał skracający męki życia ostatniego kozła w borze...

Zaszumiały drzewa...

W tym szumie drzew, słychać łkanie.

Myśliwy je rozumie. Las błaga o darowanie życia ostatniemu ze swych mieszkańców.

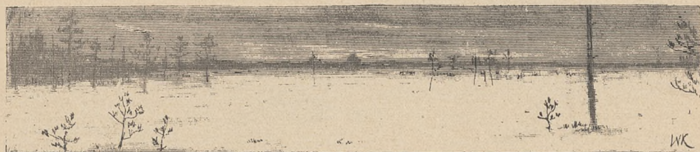
Strzelba zwolna opada, oczy myśliwego zachodzą łzami.

I tak łkając, poszedł w las. A las śpiewał „hosanna" temu myśliwemu, który uszanował życie ostatniego kozła w borze.

Wiatr chmury rozwiał i słońce rzucało fjoletowe, ostatnie promienie na ziemię.

To wizja druga, wizja przyszłości.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHÓRZNICKI



WĘDRÓWKI AFRYKAŃSKIE TEODORA ROOSEVELTA.

(Dok. rozdz. Zob. Nr. 20).

O zmroku niemal nie przejechaliśmy hyeny; przed kilku laty pociąg istotnie w nocy przejechał lwicę, której łeb maszynista przywiózł tryumfalnie do domu. Zdarzały się też często przypadki takie, które są możliwe jedynie na kolei w takim „pleistocenie". Tego wieczoru właśnie, kiedyśmy tam byli, połączenie telegraficzne zostało przerwane, ponieważ żyrafy przebiegające zerwały druty i przewróciły słup; słonie też nieraz dokazały takiej sztuki. Dwa — trzy razy w nocy przejechano żyrafy na śmierć; raz w ten sposób zabito nosorożca, przyczem lokomotywa silnie ucierpiała. W innym wypadku nosorożec zdołał przejść przez szyny, lecz został skaleczony i maszyna była uszkodzona. Najwięcej jednak niemiłych wzruszeń dostarczają tam lwy. Wszędzie w Afryce wschodniej są one ludożercami i częstokroć biały myśliwy pada ofiarą lwa. Na odludnych stacjach kolejowych, gdzie przebywa dwóch — trzech niższych urzędników, żyją oni w ciągłym strachu przed bestjami krwiożerczemi, i faktycznie co parę miesięcy dochodzi wiadomość o porwaniu człowieka przez lwa, lub o napadzie, który zakończył się szczęśliwą ucieczką. Stacje, na których pociąg się zatrzymywał, były ładne i czyste; obok

urzędników indyjskich spotykano też zwykle czarnych krajowców. Niektórzy z nich nosili fezy, koszule i spodnie, co świadczyło, że pozostawali pod wpływem białych, i zarazem, że mają łączność z mahometanizmem. Większość jednak krajowców stanowią jeszcze poganie, w niczem się nieróżniący od swych praprzodków, gdy byli wyłącznymi dziedzicami kraju. Niektórzy dzicy zarzucali na siebie czerwone chusty, okrywające jako-tako ich nagość, rażącą białych. Inni jednak, mężczyźni i kobiety, nie mieli żadnego okrycia, lubo głowy mieli wystrojone, a na nogach i ramionach mnóstwo ozdób metalowych. Jedno z plemion odznaczało się tem, że wszyscy mieli przednie zęby spiłowane w ostry koniec; był to ciekawy widok, jak grupa tych dzikich, zupełnie nagich, o pięknie przystrzyżonych włosach i spiłowanych zębach, grupa uzbrojona w prymitywne łuki i strzały, stanęła i z poważną miną przypatrywała się wjeżdżającemu na stację pociągowi. Pewna liczba prawie nagich kobiet tak mocno skrępowała swe ramiona mnóstwem drutu spiżowego i miedzianego, że muskuły były zupełnie bezkształtne i jakby stężałe. Trudno było zrozumieć, dlaczego ramię nie zostało sparaliżowane; w każdym razie ruchy były ogromnie skrępowane i trudno było sobie wytłomaczyć, w jaki sposób tak niedorzecznie okaleczałe ramię mogło wykonywać jakąkolwiek robotę domową.

Nazajutrz rano byliśmy już w rewirze, a gdyśmy siedzieli na ławce, zdawało się nam istotnie, że przejeżdżamy przez rozległy ogród zoologiczny. Takiej jazdy kolejowej niepodobna sobie wyobrazić gdzieindziej.

Raz natrafiliśmy na stado złożone z tuzina dużych żyraf, krów i cieląt, które galopowały po kniei o 200 metrów na prawo przed pociągiem. Tu znowu przyglądały się nam z bliższej odległości antylopy „riedy", nie ruszając się z miejsca, dopóki pociąg ich nie minął. Antylopy krowie były wszędzie; jedno stadko stało na szynach, a gdy lokomotywa świsnęła, zeskoczyły niezgrabnie z toru, unikając niebezpieczeństwa. Małpa długoogoniasta, barwy słomy, przeskakiwała z drzewa na drzewo. Olbrzymie czarne strusie ukazywały się od czasu do czasu. Raz było tuż koło szyn stado antylop „impalla", a gdy te piękne stworzenia czmychnęły, widzieliśmy niektóre wpadające w wysokie krzaki. Stado zebr przeszło w poprzek szyn na sto metrów przed pociągiem; gwizd lokomotywy przyśpieszył pochód zebr, lecz tylko na chwilę, a gdyśmy tylko przejechali, już żerowały spokojnie. Zwierzyna tu czuje, że znajduje się w obszarze ochronnym. Wielu jednak kolonistów narzeka na zbyt rozległy obszar objęty ochroną. Brak wody w niektórych okolicach, oraz panujące tu choroby niebezpieczne dla ludzi cywilizowanych i zwierząt domowych, czynią te okolice najodpowiedniejszemi na teren ochronny.

Zaraz po drugiem śniadaniu dotarliśmy do stacyjki Kapiti Plains, gdzie na nas czekała „Safari"; wyrazem tym określają w Afryce Wschodniej zarówno karawany towarzyszące wyprawom, jak i same ekspedycje. Ponieważ celem naszym było preparowanie egzemplarzy każdego gatunku grubej zwierzyny i wysłanie ich do domu, — niezależnie od jaknajwiększej kolekcji zwierzyny drobnej i ptaków, — przeto musieliśmy zabrać staranny dobór przedmiotów potrzebnych przyrodnikom; zabraliśmy naprz. 4 tonny cienkiej soli, gdyż preparowanie skóry olbrzymich zwierząt stanowi nawet w najpomyślniejszych warunkach herkulesową robotę; mieliśmy setki pułapek dla drobnych zwierząt, mnóstwo skrzyń z nabojami do śrutówek, oprócz zwykłych nabojów do sztućców niezbędnych w wycieczce myśliwskiej, słowem, cały obfity ładunek, potrzebny w obecnych warunkach do porządnego wykonania roboty naukowej. Mało kto z laików ma pojęcie o kosztach i trudach, jakich wymaga sprowadzenie z dalekich krajów, grupy potężnych zwierząt, żywo odtwarzających naturę, jakie widzimy w muzeach, naprz. w Muzeum Narodowem w Waszyngtonie, oraz w amerykańskiem Muzeum historji naturalnej w New-Yorku.

Przyrodnik współczesny musi sobie uświadomić, że jego zawód w niektórych gałęziach stał się sztuką, będąc jednocześnie poważniejszą, niż inne, nauką. Nasze tedy przygotowania z konieczności były bardzo rozległe, a gdyśmy się zbliżali do stacji, szeregi tragarzy i namiotów robiły wrażenie małej wyprawy wojennej. Nad moim namiotem powiewała chorągiew amerykańska, do czego przywiązałem wielką wagę; w przednim szeregu, z obu stron tego namiotu stały inne wielkie namioty dla członków wyprawy, oraz namiot na jadalnię, i namiot preparacyjny. Z tyłu znajdowały się namioty dla 200 tragarzy, strzelbonośców, stróżów, askarich, czyli krajowych żołnierzy, i pachołków od koni. Przed namiotami ustawiano ludzi w dwa szeregi; pierwszy stanowiło 15 askarich, drugi — tragarze i ich przewodnicy. Askari byli umundurowani w czerwone fezy ,niebieskie bluzy i białe pantalony, a każdy miał swą strzelbę i ładunki. Tragarzy wybrano z pośród najrozmaitszych plemion i ras, ażeby w razie buntu uniknąć niebezpieczeństwa łatwego porozumiewania się.

W Afryce Wschodniej można tu i owdzie posiłkować się wozami zaprzęgniętymi w woły, lub jucznymi osłami; lecz dla dłuższej wyprawy najlepiej jest korzystać z usług „Safari" krajowych tragarzy, którymi posługują się zawsze wyprawy handlowe i przyrodnicze. Rdzeń takiej Safari tworzą zazwyczaj suaheli, murzyni, którzy od panujących tu długie lata w miastach nadbrzeżnych, wojowników i kupców arabskich przyjęli religję mahometańską i zarazem częściowo język arabski, oraz domieszkę krwi arabskiej. Te karawany handlowe suahelich pod przewodnictwem arabów, szukając kości słoniowej i niewolników, pierwsze utorowały drogę w krainach, które potem badali biali podróżnicy. Bez tej uprzedniej pracy, podróżnicy nie dokonaliby swego dzieła, które właśnie zawdzięczają tragarzom suahelim. Po dziś dzień musi każdy myśliwy, kupiec, misjonarz lub podróżnik, posługiwać się „Safari", złożoną z suahelich. Rola, jaką odegrał wóz kołowy, bielą okryty, w dziejach Afryki południowej, a karawana wielbłądzia w Afryce północnej, — przypada w udziale w Afryce środkowej szeregom silnych, cierpliwych, a dziecinnych dzikich, którzy dźwigali ciężary licznych panów i pracodawców przez czarny ląd.

Afryka równikowa jest w przeważnej części okolicą niezdrową dla białych, przyzwyczajonych do chłodnych krain sosen i brzóz. Można sobie jeszcze poradzić z życiem obozowem w Rocky Mountains lub w lasach północno-amerykańskich, a pierwsi pionierzy, eksploratorzy, poszukiwacze złota i myśliwi zahartowali się, jak niedźwiedzie. Ale w tropikalnej Afryce bardzo wielu, niestety, podróżników przypłaciło swe trudy chorobą lub śmiercią.

W Kapiti Plains nasze namioty, jak również całe urządzenie, były nazbyt wygodne dla ludzi, którzy poznali życie obozowe w prerjach, w Rocky Mountains i lasach północnych. Mój namiot miał dach doskonale chroniący od upałów; za nim był budyneczek, przeznaczony na ciepłą kąpiel, — gdyż tylko taka, a nie zimna jest tu konieczna; podłoga była nakryta płótnem żaglowem, co jest bardzo ważne w miejscowości pełnej kleszczy, pcheł i skorpionów. Ustawiono też łóżko polowe, na którem spałem wygodnie. Co za różnica w porównaniu z życiem wśród pasterzy! Następnie miałem dwóch wartowników, którzy nademną czuwali. Pierwszy z nich, Ali, był murzynem mahometańskim i umiał nieco po angielsku, podczas gdy „Bill" był czarnym milczkiem, dodanym Aliemu do pomocy; obaj byli wierni i zasługujący na zaufanie. Dwaj inni murzyni mahometańscy, Mohamed

i Bakari, ubrani jak askari, dźwigali tylko broń; wyglądali na dzielnych ludzi, przywiązanych i wytrwałych; nie odznaczali się wprawdzie psim węchem, ale bystrym wzrokiem śledzili zwierzynę; pierwszy z nich mówił także trochę po angielsku. Obaj moi pachołkowie byli poganami. Jeden z nich, Hamiri, miał zapewne w żyłach dużo krwi niemurzyńskiej; pochodził z jakiegoś szczepu obcego, który tu wtargnął z okolic Nilu środkowego. Hamiri nosił stale długie pióro w jednym ze swych sandałów, które było jedyną jego ulubioną ozdobą. Drugi „Sais", czyli pachołek, był cichym, przyjaznym, czarnym poganinem; na imię mu było Simba, „lew", jak się potem okazało, zasłużył na to imię. Oba konie, doglądane przez tych ludzi, były silnemi, spokojnemi, małemi zwierzętami; jednego z nich, kasztana, nazwałem „Spokój", a drugiego, bułanego, bardzo podobnego do zebry, przezwałem „Zebrowaty". Jeden z dwóch koni Kermita miał nazwę bardziej romantyczną, Huandaw. Cuningham, chudy, żylasty i brodaty, był istnem wcieleniem myśliwego i przewodnika Safari, jaknajbardziej pożądanego dla takiej wyprawy, jak nasza; przyjechał z nami koleją, a na stacji spotkaliśmy Tarltona i dwóch kolonistów z tej okolicy, pp. Alfreda Pease i Chifforda Hilla, afrykańczyka. Ten i jego kuzyn Harold Hill, po uczestniczeniu w wojnie południowo-afrykańskiej, przybyli do nowej ojczyzny, angielskiej Afryki Wschodniej, gdzie się osiedlili, przedstawiając sobą idealny typ kolonistów przodujących w rozprzestrzenieniu granic państwa. Pochodzili z angielskich kolonistów, którzy w r. 1820 przybyli do Afryki; nie byli nigdy w Anglji, podobnież jak Tarlton. Nadzwyczajnie interesujące było przebywanie z tymi australczykami i afrykańczykami, którzy swem życiem i czynami upostaciowali wielkość państwa angielskiego, a jednak nigdy nie widzieli Anglji.

Co się tyczy sir Alfreda, to Kermit i ja mieliśmy być przez następne dwa tygodnie jego gośćmi, jemu też przedewszystkiem, oraz jego wybornej znajomości myślistwa i gościnnemu usposobieniu zawdzięczamy przyjemne i skuteczne obeznanie się z afrykańskimi stosunkami myśliwskimi. Życie jego było tak urozmaicone, jak tylko to jest możliwe w warunkach obecnego pokolenia. Przez wiele lat był posłem do parlamentu; przez kilka lat był na nader odpowiedzialnem stanowisku urzędniczem w Transwaalu; jako podróżnik, myśliwy i badacz, przewędrował północną Saharę, Sudan, Somaliland i Abisynję. Pozatem był łowcem wielorybów na Północnem morzu lodowatem, myśliwym i badaczem przyrody w Laplandji, spedytorem w Afryce południowej i w rozmaitych kątach świata, kolekcjonistą dla British Museum, a teraz urządził sobie farmę w Afryce Wschodniej. Ponieważ był niezwykle dobrym jeźdźcem i jednym z najlepszych strzelców, jakich kiedykolwiek widziałem, przeto trudno było marzyć o przyjaźniejszym gospodarzu lub myśliwym, któryby nas uczył, jak przystąpić do naszego zadania wobec grubej zwierzyny afrykańskiej.

W Kapiti nie było prawie nic więcej po za budynkami stacyjnymi, ustawionymi w czworobok, w których mieszkało wielu krajowców i był sklep indyjski. W tym sklepie rządził mahometanin, strojny w turban; kupiec ten był zarazem agentem innych kupców indyjskich, którzy sprzedawali towary w Machakosboma, miejscowości, odległej o 12 mil. Za środek komunikacyjny służą wózki dwukołowe, zaprzężone w woły, popędzane przez prawie nagich dzikich.

Dwie doby byliśmy zajęci pilnie uporządkowaniem rzeczy do wyprawy, a przyrodnicy zużyli jeszcze więcej czasu. Zapasy żywności były takie same, jakie zwykle się zabiera na podróż przyrodniczą lub wyprawę myśliwską w Afryce, z tą różnicą, że na wspomnienie swego pobytu na dalekim Zachodzie, zaopatrzyłem każdą skrzynię podróżną w kilka puszek suszonej fasoli bostońskiej i brzoskwiń kalifornijskich. Mieliśmy obfitą pościel ciepłą, gdyż na wyżynach noce są chłodne nawet pod równikiem. Na polowaniu nosiłem ciężkie obuwie ze sztyftami lub podeszwami gumowemi, spodnie z khaki, których kolana były obszyte skórą, a nogawice od kolan do kostki były mocno zapięte na guziki, tak, że kamasze nie były potrzebne; dalej miałem koszulę wojskową koloru khaki i kask tropikalny, który wziąłem zamiast swego wygodnego i ulubionego kapelusza, za poradą znawców stosunków miejscowych. Sztucery miałem wojskowe Springfied, 30 kal., których osada i wizjer były dopasowane do mej potrzeby; winchester 405 i dubeltówkę 500 — 450 Holland, piękną broń, którą mi ofiarowało kilku przyjaciół, anglików.

Broń Kermita była tego samego gatunku, lecz zamiast Springfielda, miał drugiego winchestera do amunicji wojskowej, a dubeltówkę Rigby. Pozatem miałem śrutówkę Fox Nr. 12 jaknajlepszego gatunku.

Mieliśmy jeszcze inny pakunek, może trochę niezwykły w podróży afrykańskiej, mającej trwać czas dłuższy, ale bardzo pożyteczny. Była to t. zw. „bibljoteka ze skóry świńskiej", ponieważ większość książek oprawna była w taką skórę. Znajdowały się one w lekkiej skrzyni z aluminium, owiniętej w sukno woskowane, ważąc razem niecały pud, co łatwo dźwigał jeden tragarz. Wyboru książek dokonałem ja częściowo, oraz Kermit, wybierając tylko, co nam najbardziej się podobało lub co było niezbędne w takiej podróży.

Posługiwałem się siodłem wojskowem Whitmana; pozatem w celu studjowania trybu życia zwierzyny, miałem lunetę, którą otrzymałem na okręcie od współpodróżnego, myśliwego na grubą zwierzynę, irlandzkiego rotmistrza huzarów z Indyj. Miałem też bardzo pomysłową wagę do ważenia zwierzyny, obmyśloną przez mego przyjaciela, p. Thomsona Setona, który mi ją podarował. Na mokrą pogodę miałem palto z płótna nieprzemakalnego; na zimno w czasie nocowania w górach — płaszcz wojskowy i wełnianą kurtkę. W kieszeni miałem naturalnie nóż, kompas i libellę. Na krótko zresztą przed odjazdem p. John L. Sullivan, niegdyś champion bokserów, przysłał mi skok zajęczy, oprawny w złoto, który ma służyć za talizman.

Obóz nasz znajdował się na pustej, suchej równinie, okrytej zwiędłą trawą brunatną. Prawie o każdej godzinie mogliśmy obserwować w odległości jakiej mili angielskiej żerującą zwierzynę. Na południe kolei ciągnął się na wielkiej przestrzeni obwód rezerwatu; na północ zaś obejmował tylko jedną milę, wystarczającą zresztą, żeby przeszkodzić nierozsądnym lub nieokrzesanym ludziom, chcącym strzelać do zwierzyny z okien wagonu. Wody było bardzo mało; ta, którą piliśmy, była przegotowaną. Ujemną stroną tego obozu i całej równiny były kleszcze, od których się roiło, stanowiąc plagę ludzi i zwierząt. Co wieczór pachołkowie wybierali setki tych kleszczy z każdego konia, a niektóre osoby z naszego towarzystwa tak były pokąsane, że nie mogły wcale spać. Raz, czy dwa razy osoby te były potem parę dni chore, a dwa nasze konie dostały febry kleszczowej, z której się jednak wyleczyły.

Po południu trzeciego dnia byliśmy już tak przyszykowani, że Kermit i ja mogliśmy zacząć polować; wyjechaliśmy więc konno, on z Hillem, ja z sir Alfredem, każdy w otoczeniu strzelbonośców i pachołków, oraz kilku tragarzy, którzy mieli odnosić zwierzynę do obozu. Dwie — trzy mile szły nasze małe konie z trudem wciąż na północ po pustych stepach o krótkiej trawie, aż teren zaczął się podnosić nizkimi wzgórkami, których szczyty były pokryte żwirem. Była wtedy właściwie pora deszczowa największych ulew, ale deszcz się opóźnił. Tem niemniej deszcz padał tego popołudnia 2—3 razy. Ujrzeliśmy rychło zwierzynę, ale równy teren i brak wszelkiej osłony utrud-

niały podchodzenie; jedyne krzaki stanowiły parę rzadko rozsianych mimoz, rośliny-pokraki, wysokie na 2 — 3 stopy, o nielicznych liściach, ale obfitych pączkach na gałęziach i o długich, spiczastych cierniach. Spostrzegliśmy stada antylop krowich, czyli Hartebeest lub Kaama, oraz gnu, tudzież mniejsze stada pięknych gazelli. Tych były dwa gatunki, nazwane podług swych odkrywców, przyrodników-badaczów, „Grant" i „Thomson"; wiele stworzeń z tej okolicy przypomina nazwiska tych ludzi, którzy pierwsi je odkryli, na nie polowali i z niemi obeznali świat naukowy, jak Schillings, Jackson, Neuman, Kirke, Chanler, Abbot. Gazelle Thomsona, czyli Tommie, jak je tam zawsze nazywają, są pięknemi, zwinnemi i drobnemi zwierzętami, o połowę mniejszemi od kozic. Większe ich siostry, gazelle Granta, należą do najpiękniejszych ze wszystkich antylop; są może trochę większe od jelenia wirgińskiego i mają nadzwyczaj piękną podstawę; stare kozły noszą długie lirowate rogi.

Na gołych stepach pod słońcem afrykańskim odległości bywają złudne. Ujrzałem ładnego granta i usiłowałem go podchodzić; ale kule z małego springfielda niosły za krótko, poczem zwierz umknął do bezpiecznej kryjówki; oceniłem bowiem odległość niewłaściwie. Raz znowu strzeliłem do kozła drobniejszego gatunku gazelli na 225 metrów; kula nieco zgórowała i rozszarpała mu grzbiet nad łopatką.

Najbardziej mi się udało z dwoma wybornymi egzemplarzami gnu białobrodego, samcem i samicą. Te potężne, bezradne zwierzęta, stanowiące odmianę prążkowanego gnu dzikiego Afryki południowej, są ciekawemi stworzeniami o wyjątkowych zastanawiających zwyczajach. Swą grzywą bujną, ciężkim przodem i wyglądem na ogół bydlęcym, przypominają mi zdaleka nieco bizona amerykańskiego, jednakże są naturalnie o wiele mniej masywne, gdyż stary byk w najlepszym razie dosięga wagi 700 funtów. Są to zwierzęta otwartej równiny, zawsze czujne i ostrożne; krowy ze swemi cielętami i jednym lub kilkoma bykami tworzą stado, złożone z kilku tuzinów sztuk; stare byki odłączają się pojedyńczo, lub po 2 — 3, albo przyłączają się do stad zebr, antylop krowich lub gazelli, jednym z najciekawszych rysów życiowych afrykańskiej zwierzyny jest ścisła łączność, którą zauważyć można bardzo często między dwoma zupełnie różnymi gatunkami zwierzyny. Gnu są zarówno dzikie, jak podejrzliwe. Dzikie te stworzenia, dziwnie wyglądające, stają dęba, okazują zuchwałość i wykonywują szczególne skoki, gdy stado ucieka przed zbliżającym się obcym; nawet pojedyńczy byk wspina się i unosi niekiedy przed rozpoczęciem galopującej ucieczki; gdy w stadzie panuje podniecenie, to czasami dwa byki staczają walkę z sobą nieraz bez przyczyny, a przed tą krótką, lecz zawziętą walką padają na kolana, zanim się na siebie rzucą. O tej porze, w końcu kwietnia, młode cielęta były przy stadach matek; wszakże w wielu miejscowościach Afryki podrównikowej rozmaite gatunki antylop nie mają, zdaje się, określonej pory rui, my przynajmniej widzieliśmy cielęta wszelkiego wieku.

Polowanie nasze na gnu zostało tego popołudnia uwieńczone rezultatem; lubo jednak według prawa myśliwskiego każda sztuka była moja, ponieważ pierwszy ją trafiłem, zasługa wszakże była, że tak powiem, wspólna, a mój udział właściwie mniejszy, niż innych. Usiłowałem początkowo podchodzić starego byka i po wielokrotnych manewrach, oraz posiłkowaniu się lunetą polową, doszedłem do strzału na 400 m. i trafiłem, lecz za daleko z tyłu. Aczkolwiek trzymał się na znacznej odległości, kręcił się jednak i odwracał w ucieczce tak, że kilka razy ubiegając się za nim, dochodziłem do strzału, lecz za każdym razem pudłowałem; w końcu zaczął galopować, wywijając długim ogonem; widocznie nie bardzo postrzelony, wdarł się na wyżynę daleką. Puściłem się za nim konno, gdyż nie znoszę umknięcia postrzelonej sztuki, która konać będzie pomału. Tymczasem jednak ujrzał go Kermit, któremu wiek i budowa ciała pozwoliły na skuteczniejsze galopowanie karkołomne po gruncie pełnym dołów i miejscami oślizgłym, i który z zapałem podjął się ścigania. Lecz słońce zaszło i Kermit musiał jeszcze jechać 6 — 8 mil, zanim dosięgnął starego przebiegłego byka, grożącego rogami i parskającego, i dobił go ostatecznie.

Tymczasem udało mi się podejść stado na 350 m. i szukałem w niem jałówki. Kula moja znowu poszła w tył za daleko, a gdy zwierzę umknęło, nie mogłem go już trafić z tej odległości. Lecz na pół mili upadło i bez trudności zdobyłbym je, gdyby się nie zjawił przeklęty pies, który je spłoszył. Koń mój znajdował się za daleko, lecz Pease, który widział to zdaleka, wsiadł na koń i rozpoczął pościg. Gdym się dostał do swego konia, Pease już zniknął z horyzontu; lecz po szybkiej jeździe przez mil kilka ujrzałem go przed samym zachodem słońca. Stał nad zwierzęciem, które dogonił i ubił. Późno w nocy powróciliśmy do obozu, spragnieni gorącej kąpieli i dobrej kolacji. Jak potem zawsze czyniliśmy ze zdobyczami, tak i teraz zużyliśmy dziczyznę do stołu, a skórę przechowaliśmy dla Muzeum Narodowego. Aczkolwiek jałówka i byk były tłuste i tęgie, to jednak były pokryte kleszczami, szczególnie na łysych miejscach. Wokoło oczu roiło się od tych stworzeń wstrętnych, tak, że utworzyły brzegi wokoło, jak okulary, a w stawach ramiennych, oraz na bokach siedziała taka masa, że wyglądały jak małże na starej łodzi. Zdumiewające jest to, że zwierzyna tak mało sobie z nich robi; gnu boją się widocznie much złośliwych o wiele więcej, a bąki brzeczące stanowią jeszcze gorszą plagę. Przyroda jest istotnie nielitościwa.

Następnego dnia pojechaliśmy konno do pięknych gór Kitanga, odległych o jakie 16 mil, gdzieśmy przeszło 2 tygodnie albo gościli u Pease'a na jego farmie, czyli „ranchu'a", albo odbywaliśmy wycieczki pod jego przewodnictwem.

PRZEŁOŻYŁ J. OREŃSKI.





Stosunki łowieckie i zwierzostan w powiecie Mławskim.

Powiat Mławski, pod względem hodowli zwierzyny i prawidłowego myślistwa, szczególniej po wojnie, należy do najwięcej zaniedbanych. Prawidłowych myśliwych jest bardzo mało, hodowców jeszcze mniej, większość chciałaby tylko strzelać, o ochronie zwierzyny mało kto pamięta. Na terenie powiatu istnieje tylko jedno towarzystwo myśliwskie, należące do Centralnego Związku, z siedzibą w Mławie, składające się przeważnie z urzędników i obywateli ziemskich; jest wprawdzie w samem mieście Mławie i drugie towarzystwo, przeważnie złożone z uciekinierów z pierwszego towarzystwa, dla których regulamin tego towarzystwa okazał się zbyt surowy i którzy wolą polować niekrępowani żadnymi przepisami, są jeszcze i liczne kółka włościańskie na terenie powiatu, jak w Szreńsku, Kuczborku, Unieszynie, Niechłomnicach, Lubowidzu i t. d. Do tych kółek zapisują się wiejscy myśliwi gromadnie, gdyż zapis taki daje im kwalifikację do otrzymania kart łowieckich i pod tą pokrywką wystrzeliwują niby legalnie zwierzynę. Ani jedno z tych towarzystw nie prenumeruje żadnego pisma łowieckiego, nie ma pojęcia o prowadzeniu prawidłowych polowań, ochronie zwierzyny, a pojęcie o myślistwie mieści się w ramach polowania na pomyka, polowania na wychodnego, nocą i t. d., czego dowodem liczne protokóły i sprawy za przekraczanie ustawy łowieckiej. Oprócz tych nie myśliwych, lecz strzelców, zgrupowanych w Towarzystwa i legalizowanych w województwach, jest jeszcze cały legion kłusowników i wnykarzy. Ci wszyscy niszczyciele i tępiciele zwierzyny, dość rzadko mogą być przyłapywani na gorącym uczynku, z powodu braku odpowiednich stróżów. Policja miejscowa utrzymuje, że ma inne zadania i tylko wypadkowo, przy spełnianiu służbowych obowiązków, może zauważyć nadużycia; nieliczni dozorcy w prywatnych majątkach, mają aż nadto dużo roboty z ochroną powierzonych im terenów, zresztą wejście na cudze tereny jest i niedozwolone i niebezpieczne. W tych warunkach jest nader trudno podnieść zwierzostany i zorganizować myślistwo.

Wkrótce po wyjściu ustawy z dnia 3.XII. 1927 r. zwróciłem się do p. starosty mławskiego w dniu 7.III. 1928 r., prosząc o pomoc w ochronie zwierzyny i o dopomożenie mi w zaznajomieniu ludności wiejskiej z nowem prawem łowieckiem; w tym celu prosiłem: a) o zarządzenie zebrania wszystkich osób, zainteresowanych na powiecie sprawami łowieckiemi, jak członków towarzystw i kółek łowieckich, kandydatów na otrzymanie kart łowieckich, wójtów i pisarzy gminnych i t. d. dla zaznajomienia tychże z ustawą łowiecką, oraz zebranie opinji o kandydatach na otrzymanie broni i kart łowieckich, b) zarządzanie sprawozdań z działalności towarzystw łowieckich, c) wobec zbliżającej się pory godowej ptactwa, składania jaj i lęgów, przypomnieć urzędom gminnym, nauczycielstwu wiejskiemu i t. d. o pouczaniu starszych i dzieci, że wybieranie jaj i młodych to czyny nieetyczne, surowo przez prawo karane i że ochrono zwierzyny łownej, jako części bogactwa narodowego, obowiązuje każdego obywatela kraju, d) w celu ochrony zwierzostanów i należytego wypełnienia ustawy łowieckiej, koniecznem jest jaknajwcześniejsze wprowadzenie straży łowieckiej. W naszych stosunkach, żadna ustawa choćby najlepsza, nie wyda rezultatów, jeśli nie będzie ściśle przestrzeganą, — dlatego na zebraniu ogólnem należy sprawę tę przedstawić, obmyśleć fundusze na utrzymanie straży, lub też zwrócić się o pomoc do odpowiednich władz.

W końcu zaznaczyłem, że na zwołanem zebraniu wszelkie objaśnienia ustawy i wypracowanie wszelkich referatów myśliwskich mogliby rozebrać pomiędzy sobą delegaci Centralnego Związku, urzędnicy państwowi (myśliwi), członkowie prawidłowych Towarzystw myśliwskich i wybitniejsi myśliwi w powiecie. Swoją pomoc i współdziałanie ofiarowałem w jaknajszerszym zakresie.

Pan starosta przyjął przychylnie mój projekt. Zaprosił wybitniejszych myśliwych, urzędników i członków zarządu Kółek i po naradzie postanowiono: jednego ogólnego zgromadzenia nie zwoływać, a rozbić je na sześć większych gmin, to jest na każde 3 gminy zwołać jedno zebranie i na tych zebraniach omówić wszystkie poruszone przezemnie sprawy i w szczególności zaznajomić zebranych z nową ustawą. Pan starosta do objazdu gmin i udzielania objaśnień wyznaczył właściwego referenta. Ponieważ nikt z zebranych myśliwych, nie godził się na objazd gmin, tłomacząc się brakiem czasu i t. p., zadeklarowałem się przeto objechać łącznie z p. referentem wszystkie gminy, w których naznaczone były zebrania, i udzielać odpowiednich objaśnień. Pan referent nie był myśliwym, w sprawach łowieckich mało się orjentował i cały ciężar objaśnień spadł na mnie. Byłem jednak w dwóch tylko gminach, łącznie z p. referentem, termin trzeciego wyjazdu p. referent zmienił, a dalszych wyjazdów zaniechał, — a że wkrótce dostał tranzlokację do innego powiatu, cała akcja zamarła i nawet żadnego śladu z niej nie pozostało.

Towarzystwo Łowieckie w Mławie, którego jestem członkiem i honorowym prezesem, staram się prowadzić poprawnie. Towarzystwo jest zarejestrowane w Centrali, każdy członek otrzymuje „Łowca Polskiego", Towarzystwo znacznie rozszerza terminy ochrony zwierzyny, to jest skraca czas polowania, Towarzystwo dzierżawi przeszło 10.000 hekt. gruntów włościańskich i dworskich, na których poluje tylko jeden raz w roku i to z naganką, pozostawiając nieopolowane rezerwaty w ilości około 4.000 hekt. Jak już zaznaczyłem, polowanie na zające odbywa się tylko z nagankami, na niektórych tylko, wyjątkowo niedogodnych terenach pozwala się najwyżej na dwa „kotły". Polowanie w kotły jest wyłączane, z uwagi, że najwięcej wyniszcza zwierzynę; w kotle prawie każdy zając jest strzelany, a choć nie wszystkie za-

bite, ale prawie wszystkie wychodzą z kotłów zestrzelane. Pozatem przy tym rodzaju polowań wynikają zawsze nieporozumienia. Warszawskie Towarzystwo Praw. Myśl. i Ochr. Zwierz. łownej już przeszło 40 lat temu z regulaminu polowań kotły wyłączyło. I jeszcze jeden wzgląd, — przy polowaniach w kotły najczęściej zdarzają się wypadki postrzelenia, czy to kolegi myśliwego, czy też naganiacza.

Z ptaków łownych mamy przeważnie kaczki i kuropatwy, a polowania na nie odbywa się przeważnie z wyżłem.

W tych warunkach zwierzyny byłoby dość dużo, gdyby sąsiednie kółka łowieckie polowały prawidłowo i choć cośkolwiek dbały o rozmnożę zwierzyny, gdyby nie rozwielmożnione w powiecie wnykarstwo i kłusownictwo; w gorszych jeszcze warunkach znajdują się sąsiednie powiaty Przasnyski, Ciechanowski i Sierpecki. Największą plagą jest wnykarstwo i sidlarstwo; przechodząc przez swoje tereny (dzierżawione od włościan) zdejmowałem na 15-to morgowym zagajniku po setce wnyków, złapałem wnykarza, który w drugie święto Bożego Narodzenia w moim ogrodzie rozstawiał pętle i od którego odebrałem kilkadziesiąt jeszcze nie rozstawionych; na jednem z polowań zimiwych myśliwy zabił lisa stojącego na wnyku i na tem samem polowaniu mieliśmy na rozkładzie 15 zajęcy, z których, aż trzy z oberwanymi wnykami. Dodawszy do tego zające wystrzelane przez kłusowników, przez członków kółek myśliwskich włościańskich na pomyka, z zasiadki, często w czasie ochronnym lub w księżycowe noce; wybrane jaja kacze i t. d., nie możemy się dziwić, że zwierzostany nasze marnieją z roku na rok, a niektóre gatunki zwierzyny są dziś rzadkością i grożą zanikiem. Polowałem na terenach powiatu Mławskiego przed 50 laty, poluję i przez ostatnie trzy lata i stwierdzam, że spotykany dawniej dość często dzik, cietrzew i dropie zupełnie zniknęły, a słonka, dubelt, przepiórka i wiewiórka należą do rzadkości.

Walka z kłusownictwem jest b. utrudniona; wprawdzie nowe prawo łowieckie mówi o strażnikach łowieckich, zaprzysiężonych, ale w praktyce tylko bogatsi właściciele ziemscy i bardzo mała ilość Towarzystw Myśliwskich mogą utrzymywać takich strażników. Najlepsze prawo łowieckie nie doprowadzi do dodatnich rezultatów, jeśli nie będzie ściśle przestrzegane i dokładnie wykonywane. Strażnicy łowieccy nie mogą być tylko dla pojedyńczych właścicieli ziemskich, ani pojedyńczych towarzystw łowieckich. Ustawa łowiecka jest dla całego kraju i ma na celu podniesienie zwierzostanów na całym obszarze Rzeczypospolitej, a tem samem zwiększenie pewnego źródła bogactwa narodowego, dlatego stróże tej ustawy muszą być funkcjonarjuszami państwowymi, powinni dozorować wszystkie tereny, tak zarejestrowane, jak i niezarejestrowane, gdyż inaczej nigdy gospodarki łowieckiej nie będziemy w stanie podnieść. Cóż bowiem może być za korzyść, że właściciel pewnego łowiska będzie zwierzynę hodował, jeśli na sąsiednich terenach będzie bezkarnie uprawiane kłusownictwo i wnykarstwo, a co się dziać będzie na terenach niezarejestrowanych? Jeśli właściciel nie dba o nie i nawet tych terenów nie rejestruje, to kto na takich terenach ma dbać o ochronę zwierzyny? Toć to będą dzikie pola, na których tylko kłusownicy i wnykarze zupełnie swobodnie grasować będą.

Rozumiem, że przy obecnem ciężkiem położeniu finansowem, skarb Państwa może narazie nie mieć środków na zaprowadzenie straży łowieckiej w Państwie, ale sądzę, że na ten cel powinny pójść przedewszystkiem: a) podatek od wykonywanego prawa polowania, podatek ten powinien być płacony od hektara, przez właściciela terenów, z uwagi, że przez ochronę podniesie się zwierzostan i właściciel albo będzie miał większą ilość zwierzyny dla siebie, albo też będzie mógł otrzymywać wyższą tenutę dzierżawną, b) kary za przekroczenia ustawy łowieckiej, wyznaczane przez starostów lub sądy, c) ustanowiony specjalny dodatek na ochronę zwierzyny łownej, pobierany od wydania każdej karty łowieckiej *).

Fundusze na straż łowiecką znaleźć się muszą, z całą świadomością bowiem twierdzę, że bez państwowej straży łowieckiej, ustawa łowiecka pożytku nie przyniesie i pozostanie martwą literą. Ustawa łowiecka wydaną jest dla całego Państwa, ma na względzie podniesienie bogactwa narodowego i ochronę tego bogactwa tylko Państwo dać może — inaczej daremne są wysiłki i prace tak Centrali, jak i delegatów powiatowych.

W końcu zaznaczam, że nadzwyczajnie surowa, tegoroczna zima wyrządziła nadzwyczajne spustoszenia w zwierzostanach powiatu Mławskiego i sąsiednich: kuropatwy, których mieliśmy bardzo dużo, prawie doszczętnie wyginęły, są gminy, w których nie pozostało ani jednej, na terenach, w których jeszcze w początkach lutego było w kilku partiach po kilkaset sztuk, pomimo ochrony i intensywnego żywienia, pozostało na marzec ledwie sztuk kilkanaście; przy odmiataniu śniegu w budkach, przy zasypywaniu ziarna znajdowano całe stada zasypane śniegiem i zmarznięte. Jastrzębie też dużo wyniszczyły, a sąsiedzi na gruntach włościańskich, pod stodołami także dużo na sidła wyłapali. Zające też b. ucierpiały, wiele sztuk wymarzło, znajdowano przymarzłe do drzew i krzaków, dużo też wytępiły lisy. Sarny wymarzały całymi rudlami, szczególniej ucierpiały młode. Słyszałem, że w dalszych powiatach dziki nawet ginęły stadami, znajdowano martwe w zagajach, a szczególniej pod kopkami siana na łąkach leśnych.

WŁAD. JANUARY STARZYŃSKI
Delegat na pow. mławski.

*) Wnioski najzupełniej słuszne, niestety dla ich przeprowadzenia potrzeba drogi ustawowej. Przyp. Red.

WALKA Z GAWRONAMI.

Pisma rolnicze zajmują się często sprawą walki z gawronami, udzielając rad i wskazówek, które opiewają:

Rano, skoro świt, zjawiają się gawrony, spędzać je trzeba grzechotkami, a jeszcze lepiej strzelać i zawieszać zabite, w kilku miejscach na żerdziach. Dobrym także środkiem jest zaprawianie nasienia przez 12 — 24 godzin kwasem karbolowym, co nie wpływa szkodliwie na kiełkowanie, a zapachu tego wrony nie znoszą. Zamiast kwasu karbolowego można także użyć olejku z rogu jeleniego. Użycie tego ostatniego jest następujące: na 100 kg. nasienia kukurydzy bierze się 2 litry olejku i 4 litry wody, wszystko razem dobrze zmieszać i w kilka godzin potem siać.

Najskuteczniejszym sposobem ochrony zasiewu końskiego zębu jest następujący: Cały kawałek pola, na którym posiano ząb, należy pokryć jakby siatką, przywiązując do palików dość mocne sznurki, tak, aby ziemi nie dotykały, w odległości 1.50 do 2 m., tak na długość pola, jak i wpoprzek. W te sznurki wplata się co parę metrów różne „gałganki" na 20 — 30 cm. długie, a parę cm. szerokie. Gałganki te mogą być też owiązane na sznurkach. Wiatr ciągle gałgankami tymi i sznurkami porusza, a cała siatka wydaje

się wronom — prawdopodobnie jakby jakaś pułapka, i pola nie obsiadają. Przekonało o tem doświadczenie. Zebu zbyt wiele się nie sieje, więc nie jest niemożliwe zastosowanie powyższego środka. Gdy ząb już podrośnie i zakorzeni się, można sznurki zebrać, przesuszyć i przechować do następnego użytku. Przekonano się, że jest to lepszy środek, aniżeli strzelanie i zawieszanie zabitych wron wśród pola.

W tej samej sprawie otrzymaliśmy od wybitnego hodowcy - myśliwego, p. F. Rożyńskiego następujące uwagi:

Do wszelkich nasion drzewnych, wysiewanych wśród lasów, używałem i używam z bardzo dobrym skutkiem minji, z którą przed wysiewem nasiona się miesza, przez co nabierają ceglasty kolor, i ptactwo ich nie rusza. Ażeby nasienie nabrało pożądanego koloru, wystarczy mniej więcej 1 kg. minji na 20 kg. nasienia. Czy środek ten byłby skuteczny i przeciw gawronom, trudno orzec.

Do zabezpieczenia od inwazji wron do budek kuropatwich wśród pól, gdzie zasypywane były poślady, używałem z niezawodnym skutkiem średnio grubego szpagatu. Szpagatem tym, namoczonym uprzednio w nafcie, otaczałem budkę w kwadrat wokoło, w odległości 2 — 3 metr. od tejże, przyczem szpagat umocowany był do palików — plus minus — 40 cm nad ziemią. Wrony, poderzewając jakiś podstęp nigdy nie ośmieliły się zbliżyć do budki i trzymały się z respektem zdala od szpagatu.

Na tej podstawie sądzę, że system zabezpieczenia i siewów szpagatem, o czem jest wzmianka w pomienionym artykuliku, odpowiada w zupełności celowi.

Konkurs na opracowanie popularnego podręcznika łowieckiego dla straży leśnej i łowczych.

Wydział Wykonawczy Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich ogłasza niniejszem konkurs na opracowanie popularnego podręcznika łowieckiego z następującą treścią poszczególnych rozdziałów:

1. Znaczenie łowiectwa pod względem ekonomicznym.
2. Przygotowanie terenów pod względem łowieckim (lizawki, wodopoje, remizy, rośliny).
3. Tępienie drapieżników (sposoby).
4. Hodowla zwierzyny łownej.
5. Krótki zarys tresury psów myśliwskich.
6. Przygotowanie i urządzanie polowań wiosennych, letnich, jesiennych i zimowych.
7. Obowiązki i sposób zachowania się służby leśnej (łowieckiej) przed, podczas i po polowaniu.

Nagroda za najlepszą pracę wynosi złotych 300, oprócz normalnego honorarjum autorskiego. Praca nagrodzona staje się własnością Centralnego Związku i będzie wydrukowana w „Łowcu Polskim“, a następnie wydana w odbitce książkowej. Pożądane jest, aby rozmiary pracy nie wykraczały po za 100 stron druku, formatu małej książki. O ile żadna praca nie będzie w całości odpowiednia, zastrzega się ewentualne połączenie części różnych prac w jedną całość, z podaniem nazwisk autorów, między których rozdzielona byłaby nagroda.

Nadające się części pozostałych prac nienagrodzonych będą mogły być umieszczone w „Łowcu Polskim“, z przyznaniem honorarjów autorskich.

Prace opatrzone być mają godłem, przyczem dołączyć należy zaklejoną kopertę z takiemże godłem, zawierającą nazwisko autora.

W skład Komitetu Sędziów wchodzą pp. St. Lilpop — przewodniczący, H. Knothe i F. Rożyński, z prawem kooptacji.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1-go października r. b.

Prace konkursowe powinny być napisane na maszynie.

WYDZIAŁ WYKONAWCZY
CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSK. STOW. ŁOW.

Z Centr. Zw. Polsk. Stow. Łow.

DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu zgłoszone zostały następujące kandydatury na delegatów powiatowych Centralnego Związku:

Mikołaj Riza-Tarnawiot, adwokat, Wilno, 3-go Maja 9, na miasto Wilno i powiat Wileńsko-Trocki.

Michał Borowski, Wilno Teatralna 5,

Stanisław Piotrowski, sędzia grodzki w Rakowie, obaj na pow. Mołodeczno,

Witold Kwinto, maj. Staciuny, poczta Turmonty,

Władysław Fiedorowicz, maj. Hrycewicze, poczta Druja,

Leon Januszkiewicz, insp. samorz. Brasław,

Bolesław Rawicz, wójt gminy Widze, p. Widze, wszyscy czterej na pow. Brasławski,

Włodzimierz Puchawko, nadl. lasów państw. w Podbrodziu,

Stefan Jankowski, nadl. lasów państw. w Nowo-Święcianach,

Ryszard Kuźmiński, sędzia w Łyntupach,

Jan Szejko, ziemianin, maj. Mejłany — w gminie Dukszty,

Aleksander Abramowicz, ziemianin, Bałtaniszki, gm. Daugielska,

wszyscy pięciu na pow. Święciański,

Józef Kiersnowski, p. Hołubicze, na pow. Dzisneński,

Stefan bar. Ike-Dunikowski, maj. i poczta Duninów, na powiat Gostyniński,

Por. Stefan Kryński, łowczy Rezydencji Prezydenta Rzplitej w Spale, na powiaty Rawski i Opoczyński,

Feliks Popławski, Łowicz na pow. Łowicki,

Tadeusz Krzymuski, Dąbroszyn, p. Rychwał, na pow. Koniński,

Stefan Różycki, ziemianin, Wlesk, p. Lidzbark,

Zygmunt Karwat, ziemianin, Wichulec,

obaj na pow. Brodnica,

Ślaski Jan, ziemianin, Trzebczyk Szlachecki, p. Trzebcz, na pow. Chełmno,

Alojzy Pruszak, Krojanty, p. Chojnice.

Dr Tadeusz Drozdowski, prokurator, Chojnice,

obaj na pow. Chojnice,

Włodzimierz Pankowski, ziemianin, Szczupliny, p. Gralewo,

Tadeusz Götzendorf-Grabowski, ziem., Kramarzewo, p. Działdowski,

obaj na pow. Działdowski,

Zenon Łubieński, ziemianin, Spęgawa, p. Tczew,

Czesław Rabbe, ziemianin, Piaseczno Pom., p. Gniew,

obaj na pow. Gniew i Tczew,

Tadeusz Wyganowski, ziemianin, Gołębiewko, p. Boguszewo, na pow. Grudziądz,

Juljan Esden-Tempski, ziemianin, Sobacz, p. Liniewo,

Franciszek Ochota, insp. budowlany, Kościerzyna

obaj na pow. Kościerzyna,

Stefan Modzelewski, nadleśny, nadl. Kostkowo, p. Rybno Pom.

Feliks Kawczyński, ziemianin, Linowiec, p. Montowo,

obaj na pow. Lubawski,

Ignacy Wreze, ziemianin, Smolno, p. Zelistrzewo, na pow. Morski.

Tomasz Komierowski, ziemianin, Komierowo, p. Przepałkowo,

Inż. Konstanty Skwarc, nadleśny, nadl. Lutówko.

obaj na pow. Sempolno,

Stefan Karwat, ziemianin, Obozin, p. Godziszewo, na pow. Starogard,

Franciszek Esden-Tempski, ziem., Ostrowiec, p. Iniano,

Jan Kurpiński, nadl. państw., Osie Pom.,

obaj na pow. Świecie,

Jan Głębocki, Bierzgłowo, p. Lubianka, na pow. Toruń,

Jan Górski, ziemianin, Kamienica, p. Gostyczyn.

Bolesław Osiński, nadl. Woziwoda,

obaj na powiat Tuchola,

Jerzy Ślaski, ziemianin, Orłowo, p. Płużnica,

Antoni Tomaszek, nadl. Konstancjewo, p. Golub,

obaj na pow. Wąbrzeźno.

Lista ogłoszona 2-gi raz.

Z POLESKIEGO TOW. MYŚL.

Ogólne zgromadzenie Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego odbędzie się dn. 26 czerwca r. b. o godz. 17-ej w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie przy ul. Nowy Świat 35 z następującym porządkiem dziennym: 1) Zagajenie i wybór przewodniczącego. 2) Sprawozdanie myśliwskie. 3) Sprawozdanie kasowe. 4) Zatwierdzenie budżetu na okres 1.3.29 — 29.2.30. 5) Nabycie gruntu i budowa domku myśliwskiego. 6) Wybory członków Komisji Rewizyjnej. 7) Wolne wnioski. W myśl §-u 19-go statutu, jeżeli w oznaczonym terminie nie zbierze się wymagana liczba członków, drugie ogólne zgromadzenie odbędzie się tego samego dnia o godzinę później i będzie prawomocne bez względu na ilość przybyłych członków. — Zarząd Towarzystwa.

Z MAŁOPOLSKIEGO TOW. ŁOW.

Dn. 21 b. m. odbędzie się walne zebranie członków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, poprzedzone Mszą św. przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety we Lwowie. Tegoż dnia i następnego odbędzie się tamże na strzelnicy wojskowej premjowe strzelanie, które obejmuje pistolety, tarcze stałe, broń małokalibrową, tarcze ruchome i rzutki. Po zebraniu dr. prof. Edward Schechtel z Poznania wygłosi we Lwowie odczyt o bobrze w Polsce. Dochód z odczytu przeznaczony został na fundusz zakupu pary żubrów dla puszczy Białowieskiej.

WALNE ZEBRANIE POMORSKIEGO TOWARZYSTWA MYŚLIWSKIEGO.

Zebranie zagaił prezes dyrektor Krupski. Nastąpiło odczytanie sprawozdań Wydziału.

Klub przeprowadził akcję mianowania delegatów Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, w powiatach Grudziądz, Toruń, Tczew, Chełmno i Świecie. Pozatem uskuteczniono projekt odznaki klubowej, oraz urządzono dwukronie zawody strzeleckie, 20 i 21 maja oraz 3 listopada, a wreszcie wzięto udział w dziale łowieckim Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu.

Sprawozdanie finansowe stwierdza, że budżet Klubu wyniósł zł. 7.168. Największą pozycję stanowią czynsze i podatki od polowań w łącznej sumie zł. 4.275, zaś następny co do wielkości wydatek, to kwota zł. 875, użyta na hodowlę i ochronę zwierzyny. Preliminarz na rok budżetowy 1929/30 zamyka się kwotą zł. 6.400.

Sprawozdanie łowieckie podaje, że Klub posiada obecnie 11 terenów myśliwskich o łącznym obszarze 4.318 hektarów położonych w powiatach Grudziądz, Chełmno i Świecie.

Polowań zbiorowych odbyło się w ubiegłym sezonie 7, oprócz tego polowali członkowie Klubu pojedynczo na mniejszych terenach, które są od polowania gremjalnego wyłączone.

Ogólny rozkład wynosił: a) zwierzyny łownej 403 sztuk, a mianowicie: sarn - kozłów 6, zajęcy 169, kuropatw 176, kaczek 52; b) drapieżników 61, a mianowicie: 5 lisów, 1 sokół, 10 jastrzębi i 45 innych.

Ze względu na zły stan zwierzyny ograniczono w roku sprawozdawczym polowanie na zające w Klubie,, a co do roku 1929/30 przedłożono p. wojewodzie pomorskiemu wnioski mające na celu wzmożenie ochrony zwierzyny wogóle na terenie całego województwa.

W czasie mrozów zwierzynę karmiono. Wyznaczono premje po 100 zł. za skuteczne ściganie kłusownictwa i innych przestępstw łowieckich; premje te mogą otrzymać funkcjonarjusze policji, żandarmerji i straży granicznej oraz klubowi strażnicy łowieccy. Zakupiono i puszczono w celu hodowli, do lasu w Szynwałdzie 13 bażantów. Zamówione zające nie nadeszły z powodu wielkich mrozów i zostaną zakupione w styczniu 1930 r.

Walne zebranie zamianowało członkami honorowymi pp. pułkownika Juljana Sas-Kulczyckiego i dyrektora Emila Wagnera oraz uchwaliło wstąpienie Klubu do „Międzynarodowego Związku Ochrony Żubra".

Następnie przeprowadzono wybory, które dały następujący wynik: prezes dyrektor Henryk Krupski, wiceprezesi pułkownik Zygmunt Podhorski i pułkownik Czesław Jarnuszkiewicz, sekretarz major Czesław Mańkowski, skarbnik kapitan Juljusz Kruczek, łowczy aptekarz Jan Stenzel, gospodarz pułkownik Gustaw Kieszkowski. Komisja rewizyjna: major Zygmunt Marszewski, kapitan Bronisław Matuszewski, p. Tadeusz Strzelecki. Zastępcy: major Edmund Chojecki, rotmistrz Wacław Soberski i rotmistrz Edward hr. Breza.

ODEZWA DO BRACTW KURKOWYCH.

Zarząd Zjednoczenia Kurkowych Bractw Strzeleckich Rzeczyp. Polskiej w Poznaniu wydał odezwę następującą:

„Baczność! bracia strzelcy, bracia kurkowi! Stosownie do uchwały zjazdu delegatów odbędzie się pod wysokim protektoratem Pana Prezydenta Rzplitej Polskiej trzeci z rzędu kongres strzelecki Zjednoczenia Kurkowych Bractw Strzeleckich Rzplitej Polskiej w Poznaniu, w czasie od 22 czerwca do dn. 7 lipca r. b. Z uwagi na Powszechną Wystawę Krajową oraz bardzo liczny zjazd gości z całej Rzeczypospolitej Polskiej i zagranicy, obowiązkiem naszym jest silnie zadokumentować ideę strzelecką zrzeszonych w Zjednoczeniu Bractw Kurkowych, zwłaszcza w projektowanym pochodzie przez miasto. Zważywszy pozatem, że każdy brat-strzelec zamierza przy tej okazji zwiedzić także Powszechną Wystawę Krajową, a czynić to może za pośrednictwem zarządu Zjednoczenia i Bractwa kurkowego poznańskiego, po ulgowej cenie wstępnego, liczymy na niezawodne, gremjalne przybycie braci z całej Polski. Liczne Bractwa, między innemi zwłaszcza Lwów, Kraków i Warszawa, zapowiedziały już swój udział. Lwów i Kraków stawi sie w swych przepięknych, tradycyjnych kontuszach. To też apelujemy do zacnej braci strzeleckiej, aby wzięła bardzo liczny udział w pochodzie z okazji uroczystości kongresowych. Pokażemy naszą potęgę, nasze tradycyjne znaczenie wśród społeczeństwa polskiego, dla niego i rządu! Nieobecność na otwarciu tegorocznego kongresu równać się będzie zaniedbaniu narodowego obowiązku! W pochodzie brać mogą udział także Bractwa, niezaliczające się w poczet członków Zjednoczenia. Liczne i cenne nagrody stanowić będą premje dla najlepszych strzelców. Strzelnica Bractwa kurkowego poznańskiego zaopatrzona będzie w 35 stoisk strzeleckich. Statutowym gospodarzem kongresu jest tradycyjne Bractwo kurkowe poznańskie. Tam należy skierować jaknajwcześniej zgłoszenie o kwatery (sekretarjat, plac Wolności 14. I p.). Sam w sobie już poważny kongres, upiększony będzie wielce wspaniałemi uroczystościami 675 jubileuszu tradycyjnego Bractwa kurkowego w Poznaniu. Zarządy Bractw, czuwajcie nad sprawą i informujcie członków dostatecznie i na czas o wyjątkowem znaczeniu tegorocznego kongresu, w którym wszyscy bracia z obowiązku muszą wziąć udział. Każdy strzelec winien wystąpić w mundurze, godnie i z zachowaniem należytej powagi, a Polska i zagranica przekona się o potężnem znaczeniu zdrowego, zawsze Ojczyźnie wiernego mieszczaństwa polskiego! Zatem do widzenia na kongresie!"

Odezwę podpisali za zarząd Zjednoczenia: prezes honorowy dr. Zygmunt Głowacki, prezes Jan Łuczak i wiceprezes St. Maciejewski.

Z OGRODÓW ZOOLOGICZNYCH.

W Warszawie do ogrodu Zoologicznego przybył nowy transport okazów egzotycznych. Transport ten stanowi wielbłąd dwugarbny, młody słoń oraz czarne łabędzie. Przybyło nadto 40 małp, które bawią tylko w gościnie, są bowiem własnością jednego z profesorów wileńskich i pojadą dalej do Wilna.

Słoń zamieszka w przygotowanej dlań, osobnej klatce ustawionej w pobliżu klatki słonicy. Wielbłąd ma też przygotowane locum.

Drogą przyrostu naturalnego wzbogacił się ogród Zoologiczny w 5 nowonarodzonych dziczków i 5 wilczków. Urodził się także w niewoli mały zajączek.

Jakiś złośliwy gość podrzucił niedźwiedziowi zakorkowaną butelkę z mlekiem. Nie mogąc dostać się do płynu, miś rozgryzł szyjkę butelki, przyczem pokaleczył sobie pysk i język.

Stan dróg w ogrodzie zoologicznym stale się poprawia. Obecnie prowadzone jest na wielką skale gruzowanie głównych przejść w ogrodzie. Z innych robót wymienić należy budowę żelazo - betonowego i osiatkowanego parkanu od strony ul. Ratuszowej i wykonanie połączenia poszczególnych budynków i stawów z siecią kanalizacyjną. Jednocześnie mają być rozpoczęte roboty kanalizacyjne w drugiej, jeszcze nie urządzonej części Ogrodu od strony mostu kolejowego.

Wykonana będzie dla niedźwiedzi budowa barłogów, chroniących je od słońca; barłogi te, wykonane z pustaków betonowych, przylegać będą do klatek.

W Poznaniu w Ogrodzie Zoologicznym panuje obecnie niezwykły ruch. Nikt prawie z gości, którzy przyjeżdżają do Poznania, nie omieszka złożyć wizyty zwierzyńcowi. Około 3000 osób dziennie przesuwa się obok kas zwierzyńca. Ogród Zoologiczny przedstawia się w istocie po renowacji bardzo okazale i jest znakomitem miejscem rozrywki. Zwierzęta oczywiście także w wysokim stopniu odczuwają zwiększoną frenkwencję publiczności. Lwy, słoń i małpki bywają na wyścigi karmione przez publiczność cukierkami lub kiełbaskami, otrzymują chleb, czekoladki i ciastka z kremem. Bogaty zbiór zwierzyńca powiększył się dwoma okazami abisyńskich żółwi, każdy o wadze 40 kg. Przybywa z Hamburga jeszcze jeden transport zwierząt, przeważnie małych drapieżców w ilości mniej więcej 25 sztuk. Będą tam małe niedźwiadki, ichneumony, cybety i t. p.

Kronika myśliwska

—o— W Hrehorowiczach pow. dziśnieńskim dn. 24.III w lesie na polowaniu ze sznurami w 3 strzelby padły 2 lisy i wilk, którego zabił p. M. Goryniewski; lisy zaś kulami z winchestera — p. W. Rościszewski z Płockiego. W początku kwietnia po śniegu tenże p. Gor. zabił tam wilczycę.

— W powiecie złoczowskim ubito w ubiegłym sezonie: 2 dziki, 12 rogaczy, 23 lisy, 1152 zające, 30 bażantów, 156 kuropatw, 423 krzyżówki, 16 gołębi, 139 przepiórek, 182 chróściele, 97 dubeltów, 92 słonki, 35 cyranek, 1 gęś, 14 kulonów, 185 kszyków, 5 kurek wodnych, 2 orły, 20 łasic, 19 tchórzów, 3 kuny, 234 jastrzębie, 309 wron i sójek, 171 srok, 119 psów i kotów.

— Polskie Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie urządziło w ubiegłym sezonie 10 polowań gremjalnych, z których tylko następujące się udały: Dn. 27.X w Skwarzawie w 11 strzelb ubito 61 zajęcy, 165 strzałami; dn. 3.XI w Olszanicy w 16 strzelb ubito 50 zajęcy i 5 kuropatw. W Żukowie w 5 strzelb przy ogromnej zawiei ubito 16 zajęcy i rogacza; spudłowano lisa, a dzik uszedł niestrzelany. Wskutek mrozu zginęły kozioł i koza. Prezes Tow. p. K. Ansion ubił przed wyżłem 65 dubeltów. Członkowie ubili na terenach Tow. od 1.VI r. z. do 1.II r. b.: 1 dzika, 1 rogacza, 283 zające, 123 krzyżówki, 50 kuropatw, 145 kszyków, 80 przepiórek, 127 chróścieli, 6 gołębi, 75 dubeltów, 3 bekasiki, 2 kulony, 35 cyranek, 23 słonki, 5 kur wodnych, 11 jastrzębi, 56 wron, 30 kruków i srok.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. Marja z hr. Przeździeckich **hrabina Colonna-Walewska,** współpracowniczka „Łowca Polskiego", zmarła w Warszawie, przeżywszy lat 78. Pochowana została w grobie rodzinnym na Powązkach. Osierociła córki, syna, zięcia, wnuków i prawnuków. Zmarła zamieszczała w „Łowcu Polskim" jużto prace własne z dziedziny łowiectwa, już tłumaczone z obcych języków. Cześć Jej pamięci!

Ś. p. **Józef Heger,** rusznikarz, współwłaściciel składu broni, zmarł w Warszawie, przeżywszy lat 48. Pochowany został w grobie rodzinnym na Powązkach. Osierocił żonę, córkę, synów i zięcia. Niech mu ziemia lekką będzie!



— **Psy i koty w pow. warszawskim.** — Starostwo powiatu warszawskiego wydało zarządzenie do poszczególnych gmin w sprawie zwalczania wścieklizny. Na obszarach uznanych za zagrożone wścieklizną, właściwe urzędy gminne mają dopilnować, ażeby wszystkie bez wyjątku psy trzymane były na uwięzi. W razie prowadzenia psów muszą być one zaopatrzone w bezpieczne kagańce i trzymane na smyczy.

W temże rozporządzeniu zakazuje się swobodnego puszczania kotów. Wyprowadzanie, względnie wywożenie psów z obszaru zagrożonego, jest zakazane. Należy w każdym przypadku uzyskać zezwolenie wystawione przez lekarza weterynarji po uprzedniem zbadaniu psa i uznaniu za niepodejrzanego o wściekliznę. Również zabrania się wywożenia bez pozwolenia starosty psów ze stacji na terenach zagrożonych. Urzędy gminne pod osobistą odpowiedzialnością wójtów mają urządzać obławy, przyczem schwytane psy i koty mają być zabijane. Obławy mają być urządzane w obecności funkcjonarjuszów policji państwowej, conajmniej raz na tydzień. Pozatem właściciele psów, którzy nie stosowali się do nowego zarządzenia, będą ukarani w drodze administracyjnej. Ponieważ Warszawa uważana jest za teren zagrożony wścieklizną, należy przed wyjazdem na letnisko uzyskać zezwolenie lekarza weterynarji na wywóz psów.

— **Na Wileńszczyźnie.** — Wileńszczyzna ma przeszło 2.000 posiadaczy kart łowieckich.

— **Kłusownicy — mordercami.** — Ś. p. Stanisław Wojewoda, mieszkaniec wsi Borysławice w pow. łaskim wyszedł pewnego razu na pola, aby przyłapać kłusowników polujących bez zezwolenia. Chciał on w ten sposób udowodnić, że kierowane nań przez policję podejrzenia, są bezpodstawne i że kłusownictwem nie zajmuje się.

Ukryty w zagajniku Wojewoda spostrzegł dwóch uzbrojonych mężczyzn zmierzających w stronę lasu. Skoro przybliżyli się, poznał w nich Władysława Małka i Jana Stasiaka. Wtedy Wojewoda wyskoczył z ukrycia i rzucił się na jednego z nich, chcąc mu wyrwać dubeltówkę. Padł strzał, który jednak, na szczęście, nikogo nie zranił. Kłusownicy znani ze swej zaciekłości, wydali wspólne hasło ataku na wroga. Stasiak pierwszy natarł na Wojewodę, uderzając go fuzją w plecy. Gdy Wojewoda usiłował odeprzeć atak, Małek odstąpiwszy krok jeden, wymierzył ze swej dubeltowki i wystrzelił, raniąc Wojewodę w kręgosłup.

Strzał był niebezpieczny. Raniony upadł na ziemię, tracąc przytomność. A kłusownicy-zbrodniarze zbiegli.

W owym czasie przechodził lasem p. Antoni Bryła i słysząc strzał, udał się w kierunku, skąd dochodziło echo. W dwóch uciekających osobnikach i on poznał Małka i Stasiaka. O kilka kroków dalej znalazł Bryła rannego Wojewodę, który opowiedział mu, że to Małek go postrzelił, a Stasiak bił kolbą dubeltówki. Bryła dowlókł postrzelonego Wojewodę do poblizkiej wsi. Lekarz miejscowy zakwalifikował rannego natychmiast do szpitala, gdzie niebawem Wojewoda zmarł.

Zawiadomiona o wypadku policja aresztowała obydwu kłusowników- zbrodniarzy. Są to chłopcy, liczący zaledwie po lat 19. Stanęli oni przed sądem okręgowym pod zarzutem wspólnego zamordowania Wojewody.

Po zbadaniu świadków i po wysłuchaniu przemówień stron, sąd skazał Małka na 5 lat ciężkiego więzienia, Stasiaka zaś z powodu braku dowodów winy uniewinnił.

Niezależnie od tego sąd zasądził powództwo cywilne na rzecz spadkobierców po zabitym.

STRZELNICTWO.

= **Zawody harcerskie.** W Warszawie rozegrano na strzelnicy Legji w ogrodzie Saskim zawody strzeleckie o tytuł najlepszego strzelca-harcerza stolicy. Strzelanie odbyło się na dystansie 50 m. z broni długiej dowolnej: 1) Boye Stefan (15 WDH.) 191 pkt. na 200 możliwych (w roku przeszłym zwycięzca osiągnął 186 pkt.), 2) Jendrall (1 WDH.) 188 pkt., 3) Kubalski (15 WDH.) 186 pkt., 4) Koczyk (15 WDH.) 181 pkt., 5) Skulski (1 WDH.) 180 pkt., 6) Burakowski (15 WDH.) 178 pkt. Strzelało 26 zawodników.

= **Z Bractw kurkowych.** — Na odbytem w Chojnicach strzelaniu Królewskiego Bractwa Strzeleckiego, p. Turka, oddając strzał w imieniu p. Prezydenta Rzplitej, wystrzelił 108 punktów i w ten sposób królem kurkowym Bractwa Strzeleckiego w Chojnicach został P. Prezydent Rzplitej.

W Poznaniu godność króla kurkowego zdobył p. Franciszek Różycki. Tytuł pierwszego rycerza otrzymał b. król kurkowy, p. Józef Jarocki, drugiego rycerza, p. Jan Olejniczak, kupiec.

W Kępnie godność króla kurkowego przypadła p. Edmundowi Karłowskiemu. Pierwszym rycerzem został p. Teodor Galański, a drugim członek honorowy, burmistrz, p. Kokociński. W strzelaniu do tarczy medalowej, zdobyli 1-szą nagrodę p. Marjan Andrysiak, 2) p. Józef Wilaszek, 3) adwokat dr. Władysław Białecki, 4) prezes p. Juljan Bogucki. Oprócz tego strzelano o medal, ufundowany przez p. Wilaszkową; zdobywcą medalu został p. Józef Wilaszek.

W Bydgoszczy królem został p. Feliks Osieński.

W Grudziądzu — p. Gronek, I rycerzem p. Górski, II — p. Czapczyk.

W Gnieźnie — p. Leon Ptschyody, zeszłoroczny król okręgowy. I rycerzem p. K. Granecki, II ryc. p. Nakulski. W strzelaniu do tarczy premjowej pierwsze miejsce zdobył p. Bilski (59 p.), do tarczy orderowej — p. Fr. Galantowicz.

O NIEPRZERWANIE PRZESYŁKI „ŁOWCA POLSKIEGO".

Z powodu zbliżającego się końca półrocza i kwartału, znowu z przykrością będziemy zmuszeni wstrzymać przesyłkę „Łowca Polskiego" tym, którzy nie zapłacą w porę. Wiadomo jednak, że bardzo wielu prenumeratorów nie płaci jedynie wskutek zapomnienia, a wolałoby nawet zapłacić drożej, byle nie mieć przerwy.

Na to więc jest sposób taki, aby nie pożałować pocztówki, na której należy napisać: „W razie zalegania z prenumeratą, zgadzam się na pobranie jej za zaliczeniem na następne półrocze".

Pocztówki takie będą przechowywane w redakcji, a nadsyłający je nie narażą się na przerwę w przesyłce „Łowca Polskiego". ADMINISTRACJA.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: Julian Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.

HUMOR MYŚLIWSKI.

Przyjaciel zwierząt.

— Czy lubi pan zwierzęta?

— Bardzo. Szczególnie kapłona, młode prosię, świeżą baraninę.

Kot, czy zając?

Towarzystwo ochrony zwierząt zwraca się do wszystkich przyjaciół kotów, aby w miejscowościach kąpielowych i klimatycznych wstrzymali się od spożywania pieczeni z zająca.



Wieczne futro.

Djalog żony z mężem:

— Przydałoby mi się nowe futro fokowe?

— Janko, przecież jest jeszcze zupełnie dobre.

— Paradny jesteś. Przecież noszę je już trzeci rok.

— No to co? Foka nosi je przez całe swoje życie.



KUPUJCIE NIEZAWODNY NABÓJ

„POCISK"

CAŁKOWICIE WYKONANY W KRAJU.

ŻYWE

puhacze
kuny
wydry
dzikie koty
zwierzęta drapieżne

i wszelkie **żywe zwierzęta** sierciowe i **pierzaste**, oswojone i dzikie, użytkowe i szkodne

kupuje

A. VALLA, Praga Czeska

skrzynka pocztowa 700.

Podawać należy tylko oferty z cenami i warunkami sprzedaży.

S. HISZPAŃSKI szewc

w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 7. Telefon 48-02.

Istnieje od 1838 r.

SPECJALNOŚĆ! Obuwie myśliwskie.

Firma egzystuje od roku 1872.
ZAKŁAD ZEGARMISTRZOWSKI

M. POZZI I P. CZERNIK

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT NR. 18.
Sprzedaż i reparacja z dwuletnim poręczeniem.
Przy sklepie specjalna pracownia precyzyjnych robót.
Na żądanie reparacja w ciągu 24 godzin.



WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

SKŁAD BRONI I AMUNICJI

Warszawa, ul. Królewska 17. Telefony: 19-17. Zarząd: 78-27.

Firmowe naboje śrutowe własnego wyrobu maszynowego z kapiszonem „GEVELOT" i prochem bezdymnym „ROTTWEIL".

Wyłączne przedstawicielstwa słynnych fabryk:
Fabrique Nationale d'Armes de Guerre, Herstal-lez Liége
Auguste Lebeau - Courally, Liége
Jean Stassart, Liége
J. P. Sauer & Sohn, Suhl in Th.
Henri Delrez, Liége
Steyer - Werke A. G., Wiedeń. (Sztucery Mannlicher - Schönauer).

Na ukończeniu budowa własnej fabryki gilz i przybitek myśliwskich w Warszawie.

ODDZIAŁY: w Poznaniu, ul. Gwarna 12; we Lwowie, Plac Marjacki 4; w Wilnie, ul. Wileńska 10.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.